









659  
WINCENTY HR. ŁOŚ.

# REZYDENCI.

OPOWIADANIA I NOWELLE

z niedawnej przeszłości.

*Rezydent mojej ciotki. — Bezik panny Rapalskiej.  
Mój rezydent.*

WARSZAWA.

Nakładem księgarni G. Centnerszvera.

143. Marszałkowska 143.

1896.



# REZYDENCI.



# Tegoż samego autora

wyszły następujące dzieła:

		Rs. kop.
Dzisiejsze małżeństwa. . . . .	1 tom	1 80
Jeszcze małżeństwa. . . . .	1 „	1 80
Wilma . . . . .	1 „	1 80
Hrabia-Starosta . . . . .	2 „	3 60
Jędrzek. . . . .	1 „	1 20
Linokoczek. . . . .	1 „	2 40
Wczorajsi, Serya I. . . . .	1 „	1 50
Wczorajsi, Serya II. 1896 . . . . .	1 „	1 50
Nokturn Szopena. . . . .	1 „	1 20
Tajemnica V pułku węg. huz. . . . .	1 „	1 20
Z różnych pułków. . . . .	2 „	2 40
Nera Pollacca, 1895. . . . .	1 „	2 —
Świąt, 1895. . . . .	1 „	2 80
Hrabina, 1895. . . . .	1 „	2 —
Aktorka, 1895. . . . .	1 „	2 —
Przy naszych dworach, 1895. . . . .	1 „	2 —
High-life-Doktor, 1896. . . . .	1 „	2 —

## POD PRASĄ:

Wczorajsi, Serya III.  
 To i owo.  
 Ostatni.  
 Ze Starzów pani Appelstein.  
 Czarada.  
 Odrębna istota.

Skład główny u G. Centnerszvera,  
 Warszawa, Marszałkowska 143.



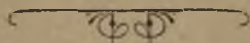
WINCENTY HR. ŁOŚ.

# REZYDENCI.

OPOWIADANIA I NOWELLE

z niedawnej przeszłości.

*Rezydent mojej ciotki. — Bezik panny Rapalskiej.  
Mój rezydent.*



WARSZAWA.

Nakładem księgarni G. Centnerszvera.

143. Marszałkowska 143.

1896.

INSTYTUT  
BADAŃ I PRACZKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

<http://rcin.org.pl>

Tel. 26-68-63, 26-62-31 w. 42



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.  
Варшава, 27-го Іюня 1895 года.

2066

Druk Józefa Sikorskiego. Warszawa, Warecka 14.

## Przedmowa i dedykacya.

---

Rezydenci! Znałem ich kilku, w mojem dzieciństwie i pierwszej młodości. Niedobitki tej całej znikłej, niezmiernie sympatycznej sfery społecznej, zapewne jeszcze gdzie się znajdują, w jakim starym dworze, który przechował nasze tradycje, zwyczaj i obyczaj.

Im tedy poświęcam tę pracę, w której niejeden mój rówieśnik dziś jeszcze znajdzie z pewnością, mniej lub więcej wierną podobiznę, jednego z przyjaciół i sympatycznych świadków swej młodości.

Stosunki, jakie wyrodziła walka o byt, idąca ręką w rękę z parą i elektrycznością, wytępiły całą falangę ludzi, pod wieloma etycznymi względami od nas wyższych, choćby tylko tym jednym

rysem charakterów, pozwalającym im żyć dla innych, nie dla siebie wyłącznie.

Rezydenci! Należą oni już do nigdy niepowrotnej przeszłości.

Ale pozostanie po nich tem sympatyczniejsze, im odleglejsze i cichsze, jak ich żywoty, wspomnienie.

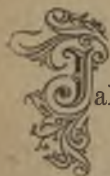
*Wincenty hr. Łoś.*

Ożarów, d. 20 Kwietnia 1895.

# REZYDENT MOJEJ CIOTKI.

---





akże go doskonale pamiętam!..

Ale—zacznijmy od początku...

Było to lat temu wiele.

Liczyłem wtedy lat dziewiętnaście, gdy rodzice moi wysłali mnie z pod Krakowa do ciotki mej, pani Balbiny, mieszkającej gdzieś za światem, na krańcach Królestwa, wśród bagien i jezior powiatu augustowskiego.

Tej ciotki nie znałem, a jechałem do niej z ważnym listem.

Słyszałem tylko dużo o niej od mego ojca, który ją uważał za największego „babę-oryginała“ pod słońcem.

Wyszędłszy bowiem za mąż w roku 21-ym za właściciela Kołodziejówki, leżącej w owych augustowskich bagnach, nie wychyliła więcej nosa z tej wioski.

Owdowiała od lat niepamiętnych, raz na rok pisała do swego brata a mego rodzica, list na grubym papierze, zaczynający się od słów: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Jaśnie Wielmożny Hrabio IMC Panie Dobrodzieju i ukochany bracie!“

Po tym tytule szły serdeczne, choć tym samym stylem ułożone, powinszowania imienin.

Od roku 21-go nikogo ze swej rodziny nie widziała, bo ojciec mój nie chciał odbywać tej podróży, a ona ani myślała opuszczać Kołodziejówki.

Wiedziałem dalej, że była bezdzietną, niegdyś bardzo piękną; wiedziałem, że Kołodziejówka liczyła kilka tysięcy morgów, z których, jak mój ojciec żartował, całym rocznym dochodem był karaś, piskorz i bekas.

Jakiś nawet szlachcic z jej okolicy zabłąkał się raz w Krakowie i opowiedział memu ojcu, że pani Balbina grubą ma gotówkę, którą trzyma w żelaznej skrzyni, w lamusie.

Opowiedział dużo oryginalnych szczegółów o jej życiu, o jej dwóch rezydentach, o jej gospodarce, co wszystko bardzo ubawiło mego ojca, ale bynajmniej nie zachęciło do odwiedzenia siostry, ani jej żelaznej skrzyni.

Na mojej młodej imaginacyi, ta ciotka Balbina, mieszkająca gdzieś... żywiąca się karasiami i bekasami, zbierająca pieniądze w lamusie, niepospolite robiła wrażenie.

Prawie się też uradowałem, gdy mi ojciec wręczył plik papierów i polecił bezzwłocznie puścić się w drogę do ciotki Balbiny.

Papiery dotyczyły ważnych interesów, których treści zaledwie się domyślałem, a ojciec polecił mi tylko serdeczne ucałowanie swej siostry.



Po kilkunastodniowej podróży, po różnych etapach w wioskach Galicyi i Królestwa, pewnego pochmurnego wieczora listopadowego dojechałem do Kołodziejówki.

Dwa małe koniki najęte w ostatniem miasteczku, zaledwie się wlokły, wyciągając nogi z rozrobionego błota.

A pejzaż dziwnie był smutny i monotony. Jak dziś, pamiętam tę chwilę, w której woźnica jakby się obudził, machnął batem i obracając się do mnie, wyrzekł:

— Ot i Kołodziejówka.

Ocknąłem się zmęczony tą mozolną drogą, a więcej jeszcze smutkiem widoku, dokoła się roztaczającego.

Mgła gęsta spadała z pochmurnego nieba.

Dokoła równina falowata pól pooranych, poprzerzynanych mokremi łąkami i kępiastemi bagnami.

Gdzie niegdzie rosła brzoza karłowata lub sosna mała i cienka, jak suchotnica.

Gdzieniegdzie sterczał krzyż dębowy, stary i pochylony, zgniły i przełamany.

Wrona rzadko nademną zakrakała, a dolatywał nas tylko głos smutny miłośnika błot, a nieznanego mi dotąd, derkacza.

A tłem tego smutnego pejzażu były we mgle pogrążone, wstęgi jasne rozsianych gęsto wód i jezior, lub wśród nich sterczące i gołe już topole, i wspanialsze od nich olchy i osiki.

A Kołodziejówka?

Cóż za smutna siedziba!

Nad odnogą ginącego za pagórkiem jeziora, czy nad wezbraną wodą łąk, jakby w błocie prawie, wyrosły topole i olchy, tworząc otoczenie domostwa, którego sześć kominów wypuszczało gęsty i powolny dym.

To był dwór.

Droga prowadziła wprost do niego przez groblę. Na grobli stał pochylony młyn; za nim na prawo wieś, której chaty zdawały się co chwila wsiąkać w błoto.

Jeszcze niżej tej kępy drzew, jakby niżej jeszcze od tego domu, którego tylko białe kominy widziałem, stały prawie w wodzie budynki gospodarskie.

Jakieś drewniane, brunatne, niezgrabne, pochylone i słomą kryte rudery, wsiąkały widocznie od lat niepamiętnych w te odwieczne błota.

Nieopisany smutek mnie ogarnął.

Ja, co się wychowałem w wesołej nadwiślańskiej okolicy, której tłem były Karpaty, a pejzażem przecudne i wesołe, po pagórkach się pnące pałace i dwory, nie miałem pojęcia o tych dzikich siedzibach derkaczy.

Właśnie jeden z nich zaderkał wśród topól, jakby z przestachem na widok wlokącej się po grobli bryki.

Żuraw ciągle będący w robocie, przeraźliwie we wsi skrzyphiał, gęsi, jak na Kapitolu, zwoływały się na noc z kęp i błot, a brykę naszą mijały chude krowy, z mozołem wyciągające nogi ze straszного błota.

Okropne było to wszystko.

Jak dziś, pamiętam ten nieokreślony smutek ogarniający mnie całego, jak to przejmujące wilgotne błot powietrze, które przenikało do szpiku kości.

Ale mimo to z zadowoleniem spoglądałem na kominy dymiące, bo one były dowodem, że w tym domu żył ktoś, jadł i pił i grzał się przy kominie.

Po długiej podróży, mimo najsmutniejszych wrażeń, z radością zbliżałem się do siedziby ciotki Balbiny, gdzie miałem zastać ognisko domowe i może... z radością być przyjętym.

Tej ciotki Balbiny byłem, w miarę zbliżania się, coraz ciekawszy.

Wreszcie dowlokła się moja bryka przed dwór.

Był to długi dom o ośmiu oknach od frontu, o wysokim dachu, z gankiem wspartym na czterech murych słupach i zapadłym w ziemię.

Odpowiadał całości i przypominał mi dziwnie ilustracje do historii naszych dawnych czasów.

Naprzeciw niego stała podobna, lecz jeszcze starsza budowla, która w ziemię widocznie więcej wsiąkać miała czasu, bo okna jej równały się prawie z poziomem.

O tyle znałem nasz dawny kraj, aby poznać w tym budynku stary dwór, przemieniony na kuchnię i mieszkania dla czeladzi.

Kilku parobków i kilka dziewczek wybiegło z sieni jej rudery, by się przypatrzeć rzadko tu widocznie zajeżdżającemu gościowi.

Równocześnie, gdy otulony w futro, z trudnością wydobywał się z zapadniętego siedzenia bryki, uchyliły się drzwi główne we dworze.

Jakaś męska głowa, w niebieskich okularach i siwa, wyjrzała i zaraz drzwi się przymknęły.

Tymczasem byłem już na ganku.

Wewnątrz domostwa słyszałem ruch, zamykanie drzwi, głosy, ale nikt naprzeciw mnie nie wychodził.

Czyżby ciocia Balbina była niegościnną?

Ale z dymem rozchodzącym się po podwórzu, doleciał mnie zapach cebuli i kartofelków przysmażanych.

Śmiało otworzyłem ciężkie podwoje, a potknąwszy się na progu, wpadłem w sień, leżącą o jaki łokieć niżej od poziomu podwórza i ganku.

W tej sieni było ciemno, bo i na dworze dobrze się zmierzchało.

Stałem chwilkę, namyślając się co dalej robić?

Wtem otworzyły się drzwi na prawo, buchnęło światło i przedstawił mi się obraz, jakiego nigdy nie zapomnę — jaki teraz, po tylu latach, najdokładniej widzę.

We drzwiach, trzymając w jednej ręce klamkę, w drugiej świecę w srebrnym lichtarzu, stała kobieta wysoka, chuda, wyrazistej i przyjemnej twarzy.

Miała na sobie spódnicę wąską czerwoną, w czarne kropki i długi granatowy sukienny żupanik z pele-rynką, a na głowie ogromny muślinowy czepiec biały z dużą kokardą, z pod którego wyglądały dwa pukle siwych włosów.

Za nią, już w drugim pokoju, stało dwóch mężczyzn, którzy przyglądali mi się z ciekawością.—jeden przez jej ramię, drugi z przeciwnej strony.

Widzę te dwie głowy.

Jedna siwa, o niebieskich okularach, stara, rumiana i pełna, o wygolonej twarzy, z małym wąsikiem.

Druga, również nie młoda, przewyższała jeszcze głowę kobiety i nadzwyczaj była typową, ze swymi białymi włosami, dużym nosem i podstrzyżonymi włosami.

Przez chwilę zdało mi się, że czytam jakiś niewydany tom Chodźki.

Niewiasta nerwowo głową trzęsła i bystro mi się przypatrywała.

— Czy zastaję w domu panią kasztelanicową Balbinę \*\*\*?—zapytałem śmiało.

Na te słowa, kobieta oddała lichtarz jegomości w okularach, mówiąc rozkazująco i krótko:

— Weź asan i przyświeć!

Puściła klamkę, a trzęsąc jeszcze więcej głową, podeszła kilka kroków i stanęła, mierząc mnie od stóp do głowy.

Ale tymczasem jegomość z lichtarzem zagapił się, wlepiając we mnie oczy.

— Świeć asan lepiej!—zawołała niewiasta—tutaj... niech zobaczę kogo Bóg daje?...

Jegomość mnie oświecił.

Uśmiechnąłem się z oryginalności pozycyi.

— Wszelki duch Pana Boga chwali!— tonem rozrzewnionym zawołała niewiasta, załamując ręce—

czyżbym się myliła? A toż pułkowniku, wykapany imię hrabia dobrodziej, mój brat rodzenienuiteńki!

— Nie on, ale syn jego! — zawołałem i rzuciłem się do rąk ciotki Barbiny.

Rozrzewnienie było ogromne; ciotka się rozplakała na dobre, ścisnęła i całowała.

— Świeć asan i nie gap się! — powtarzała do pana w okularach. — Niechno zobaczę... Wykapany ojciec!... jak dobrodzieja kocham — mówiła, przyglądając mi się i obracając na wszystkie strony. — Ot masz, pułkowniku! — ciągnęła dalej ciotka Barbina — nie mówiłam ci, że coś będzie, skoro mi się śniła kasztelanowa? Jak dobrodzieja kocham... wykapany imię pan hrabia dobrodziej!... No, rozbierz się, a poświeć-że, pułkowniku, a przyświeć-że asan!... O! mój najdroższy hrabia dobrodziej... mój bratanek!... Cóż za niespodzianka!

Ciotka ciągle mówiła, obsypując mnie pytaniami, to łając pana w okularach, to mnie całując, to znów szeptała z wysokim pułkownikiem.

Wreszcie weszliśmy do pokoju, z którego na moje przywitanie wyszła ciotka Barbina.

Przyjemne uczucie dobrobytu powoli rozpraszało mój smutek.

Była to duża sala, choć bardzo niska, tak niska iż ręką mogłem dostać sufitu. W kącie stał ogromny komin, w którego wnętrzu buchał wesoły ogień.

Na środku sali stał stół, zastawiony dostatnio do wieczery; paliły się na nim dwie świece, stał i kipiący samowar.

Rozglądałem się.

Na ścianach wisiały czarne od popstrzeń i wiekowego pyłu portrety.

Podczas gdy ciotka krzątała się pomiędzy kredensem i stołem, obchodziłem te malowidła.

Stałem przed jednym, które jeszcze nie było jednolitą powierzchnią pyłu, a przedstawiało mężczyznę w stroju wojskowym z czasów Księstwa.

Ciotka Balbina śledząca każde moje poruszenie, rzekła:

— To konterfekt dobrodzieja.

— Co za dobrodziej!—odparłem prawie ze śmiechem.

— Pan w okularach podszedł co rychło do mnie i szepnął.

— Pst!... to pan kasztelanie!

Po tej pierwszej niezręczności, poprosiłem mej ciotki, by mnie poznała ze swymi gośćmi, jak się domyślałem, owymi rezydentami.

— Cóż znowu!—zawołała ciotka—ja ci ich, bratanku, hrabio dobrodzieju, przedstawię: ot, nasz pułkownik.

Tu wskazała siedzącego już przy stole wysokiego pana, do którego podszedłem.

Ciotka dalej ciągnęła.

— Pułkownik imię pan Rapalski, jakiś daleki koligat dobrodzieja nieboszczyka...

— Bliski... bliski!—przerwał, wstając pułkownik i podając mi rękę — bliski... dobrodziejko kasztelani-cowo, bo matka moja...

— A, dajże pokój—przerwała ciotka—niech będzie i bliski, kochany pułkowniku.

Obróciła się do mnie i dalej mówiła:

— Nieboszczyk dobrodziej na jego rękach skończył życie... a to... to—tu wskazała mi pana w okularach, który się przechadzał po sali — to... no, asan, zarekomenduj się, jakiś tam familiant...

Czempredziej podbiegłem do przechadzającego się pana, który podając mi rękę, poważnie wyrecytował:

— Anzelm herbu Ślepowron Godziemba, ostatni potomek kasztelana wolbromskiego; matka moja Gąsiewska, prawnuczka hetmana, jakem żyw; żołnierz napoleoński, kawaler „virtuti militari“, jakem żyw, kapitan!...

— Hola, panie Anzelmie! — zawołał pułkownik, przerywając kapitanowi—proszę, bardzo proszę! Przy mnie imputować sobie rangi; co za kapitan?... Słyszysz mościa dobrodziejko... pan Anzelm znów się robi kapitanem! Hola, mości panie! Jak honor kocham, tak nie pozwolę!...

Pułkownik wstał i wyprostował się, jak olbrzym. Pan Anzelm zaperzony, zaczął chodzić po sali i raz po raz powtarzał:

— Dobrze, dobrze!... Jakem żyw, pokażę dokumenta... pokażę dokumenta!...

Jak głupi stałem w miejscu, gdzie pan Anzelm urwał swą rekomendację, i przy „hola“ pułkownikowem, wypuścił mą rękę.



Nikt na mnie nie zważał, bo pułkownik bardzo zirytowany ciągle mówił, pan Anzelm jedno i to samo krzyczał, a ciotka moja między nimi stała z założonemi na piersiach rękami i niby zła, niby uśmiechnięta, głową tylko kiwała.

Komiczna była to scena, ja tymczasem obserwo wałem, nic nie rozumiejąc.

Pułkownik zaperzony, rzucając wściekłe wejrzenia na pana Anzelma, dalej mówił:

— Jak honor kocham, tak już tego zawiele, mościa dobrodziejko!... Proszę!... kapitan... jak honor kocham!...

— Pokażę, pokażę... jakem żyw, pokażę! — powt arzał gorączkowo, mierząc sałę, pan Anzelm.

Pułkownik głośniej jeszcze zawołał:

— Potomek kasztelana wolbromskiego? dobrze, choć pytanie, jak honor kocham, czy ostatni. Urodzony z prawnuczki hetmana Gąsiewskiego? I to dobrze, mościa dobrodziejko, choć nikt z nas tam nie był; żołnierz napoleoński? dobrze! jeszcze dobrze! Kawaler „virtuti militari“? jak honor kocham i to dobrze! Ale kapitan? kapitan? hola, mości panie Anzelmie!...

— Mościa dobrodziejko! — zawołał pan Anzelm, stając przed moją ciotką i giestem desperackim wskazując na pułkownika — słyszysz, pani kasztelanicowo! pułkownik mnie insultuje publicznie! w twoim domu, przy twym bratanku, mościa kasztelanicowo!

Ciotka kiwała głową i uśmiechała się tylko z pod swojego dużego nosa.

Pułkownik jeszcze głośniejszym głosem wołał, nie zważając już na nikogo:

— To mi kapitan, jak honor kocham! Co za śmiałość! co za bezczelność, tak się rekomendować, jak się nie ma patentu!...

— Jakem żyw, tak nie wytrzymam — przerwał znów pan Anzelm i podbiegając do mnie, zawołał: — Jakem żyw, hrabio dobrodzieju, proszę mi wierzyć, tak pokażę dokument!

— Kłamstwo! — krzyczał pułkownik z za stołu.

— Kłamstwo? — powtórzył pan Anzelm i czemprędzej obrócił się do mojej ciotki, dodając: — Po raz drugi mnie pułkownik insultuje!

Wtem straszny zapanował zamęt, bo pułkownik podbiegł z drugiej strony do mojej ciotki i obaj zaczęli się zbliżać klócić — a w ferworze, to jeden, to drugi chwycił ją za rękę, by zyskać jej pomoc.

Ja śmiałem się tak, iż zapomniałem o herbacie i kolacyi, na które niecierpliwie czekałem.

Pan Anzelm co chwila, w ferworze klótni, wycierał niebieskie okulary, pułkownik co chwila podnosił cybuch, który nie wiem z kąd się znalazł w jego rękach.

Kłótnia, przeszedłszy na obce mi terytoryum, choć ciągle powracała do tego kapitana, stawała się coraz burzliwszą.

Szczyściem pułkownik w ferworze uderzył cybuchem w sufit, którego wapno w małych okruszynkach spadło na czepec mej ciotki.

— A! — zawołała donośnie ciotka Balbina, wyrwijąc cybuch z rąk pułkownika — a... mości panowie.. tego już zawiele, jak dobrodzieja kocham!... Dom mi rozwalą te dwa koguty!

Wyprostowała się, zarzuciła pelerynkę, podniosła cybuch i uderzyła nim z łoskotem o stół, aż zadźwięczało wszystko na nim i jeszcze donośniej, widocznie mocno ostatecznie tem wapnem rozdrażniona, kończyła:

— Kapitan, czy nie kapitan, pułkownik, czy nie pułkownik, siedzieć mi na swoim miejscu!

Obaj rezydenci opuściwszy uszy, ucichli i usiedli przy stole.

Nic ciekawszego, jak ich obu miny były w tej chwili.

Pułkownik nadrabiał jak mógł, a pan Anzelm zerkał na niego z pod okularów z ironicznym uśmiechem.

Obaj siedzieli naprzeciw siebie.

Ciotka dalej mówiła już spokojniej:

— Tak mnie kompromitować przed gościem, mości panowie!... Jeszczeby dom rozwalili... pułkownik stary taki, a głupi!

Pułkownik westchnął tylko, a ciotka obróciła się do pana Anzelma:

— Asan daj mi już raz pokój z tym kapitanem! Jak dobrodzieja kocham, tak mam już dość tego kapitana!

Pułkownik spojrział na pana Anzelma, chrząknął i uśmiechnął się.

Zauważyła to moja ciotka i czempredzej dodała :  
— Dość mam i... i... pułkownika! Myślałby jeszcze bratanek, że to jakie wojaki, a to, jak dobrodzieja kocham, dwa stare niedołęgi... niewiedzieć co!

Ciocia Balbina jeszcze zrzędziła chwilkę, z której skorzystałem, by się tej trójce bliżej przypatrzeć.

Obaj rezydenci byli zupełnie uspokojeni.

Pułkownik małemi oczkami zerkał tylko na cybuch, którym jeszcze ciotka manewrowała.

Pan Anzelm zaś przypatrywał się z rozpaczą jakąś samowarowi.

Wyglądali, jakby byli już dawno o zwadzie dopiero co przed chwilą miotającej nimi, zapomnieli.

Ciotka jedna jeszcze gderała, zarzucając co chwila małą pelerynkę, co widocznie u niej było gestem, oznaczającym rozdrażnienie.

Na mnie nikt nie zważał.

Dopiero teraz miałem sposobność przypatrzeć się stołowi, który był na więcej osób nakryty.

Ciocia Balbina siedziała na pierwszym niby miejscu. Po lewej stronie miała ogromny samowar, a za nim pana Anzelma; po prawej było miejsce próżne, widocznie dla mnie przeznaczone, za którym siedział pułkownik.

Dalej szły trzy, czy cztery nakrycia.

Chwila długa milczenia, zapewne okropnego dla skonfundowanych rezydentów, byłaby Bóg wie jak długo trwała, gdyby nie skutek desperackich spojrzeń pana Anzelma na samowar.

— Nie uważa dobrodziejka — odezwał się do ciotki — że herbata przeciągnie, bo już więcej jak siedmnaście minut jest na samowarze.

Pułkownik rzucił dziękczynne wejrzenie na pana Anzelma.

Ciotka Balbina się ocknęła.

— Co też o nas pomyśli bratanek!... Siadajże, kochanku... tutaj, przy mnie... Przyjeżdża człowiek ze świata, syn mego rodzoneńskiego brata, hrabiego dobrodzieja, a ci mu na przywitanie takie wyprawiają teatrum! Siadajże, mój kochanku... A musisz być głodnym?.. Przepraszam, bardzo przepraszam za tych... niewiedzieć co!... wstydziłibyście się!...

Usiadłem przy ciotce i dla nadania innego zwrotu całej historii, wręczyłem jej listy przywiezione z Krakowa i wyrecytowałem wszystko, co mi ojciec kazał powiedzieć.

Ciocia Balbina, u której poziome trzęsienie głową było nerwową nawyczką, zaczęła silniej i prędzej nią drgać.

— Listy od brata dobrodzieja? Ciekawam, co też pisze... a nie pisał już do mnie od śmierci nieboszczyka dobrodzieja.

— Lody przełamane — pomyślałem — dobrze!

Obaj rezydenci śmielej siedzieli na stołkach.

Ciotka list ważyła w rękach, wreszcie go odłożyła.

— Przeczytam dzisiaj jeszcze... Mój brat, hrabia dobrodziej! — westchnęła głęboko.

Poprawiła czepec, ułożyła sobie pelerynkę i zagadnęła:

— No, siedzicie, niewiedzieć co! Kochany pułkownik, a gdzie wódka i nalewki? Bratanek-by się napił!

Oblicza rezydentów rozpogodziły się. Pułkownik wstał i wkrótce powrócił z pięcioma butelkami nalewek i wódek.

Tymczasem ciocia Balbina zaczęła się mnie wypytywać o rodzinne sprawy.

Pytania te były jedne dziwniejsze od drugich i napełniały mnie nieokreślonym wrażeniem.

Ciotka bowiem, jak stanęła w swych stosunkach ze światem i rodziną, tak dotąd stała.

Pytała się o ciocię Malcię, czy jeszcze ładna, a ta ciocia Malcia miała córkę, która przestała być ładną.

Jedne po drugich, te pytania wypadały tak niefortunnie, lecz to bynajmniej nie było jej przykrem.

Podczas tego, pan pułkownik wypił był do mnie kieliszek Napoleonówki, ja do pana Anzelma i zajadałiśmy przewyborne przekąski i wędliny.

• Zauważyłem tylko, iż pan Anzelm miał o wiele lepszy apetyt odemnie, który dnia tego różne przebyłem perypetye.

Jadł, jak amator, zagłębiając się w swym talerzu, rzucając z pod okularów najróżniejsze, to na mnie, to na ciotkę, to na pułkownika wejrzenia.

Ciotka jeszcze się pytała:

— A powiesz mi też, mój kochany bratanuku, czy zawsze takim miłym, wesołym, takim galanternikiem,

jest mój cioteczny brat Dominik? Bo to w swoim czasie niewiedzieć co mówili! Podkochiwał się i we mnie i gdyby nie dobrodziej... aj! nie wiedzieć co... Powiedz mi, czy też się może ożenił? bo się zawsze zaklinał, że tylko ze mną albo z nikim... A prawda, jaki to światowiec i jaki galanternik?

— Dominik? Dominik? — szeptałem, nie mogąc sobie przypomnieć.

— Dominik — odpowiedziała ciocia Balbina — przystojny, brunet, oczy niebieskie, wąsik mały, wysoki, smukły... No, niewiedzieć co, Dominik, brat Anielki i Sewerka.

— A! — zawołałem i wybuchnąłem śmiechem, który w gardle czemprędzej przytrzymałem.

— No, mówże kochanku, mów, bom ciekawa.

— Kochana ciociu — odparłem — nie mogę nic o nim powiedzieć, bo go znałem bardzo starym i chorym na pedogrę. Umarł w cztery lata po mojem urodzeniu, w siedmdziesiątym roku życia.

Bałem się, by ciotki ta wiadomość nie wzruszyła, ale się omyliłem!

— Biedaczysko—odparła—umarł... Proszę! tak wcześniej... Świeć, Panie, jego duszy!... Tak wcześniej!..

Pułkownik trącił mnie łokciem, a pan Anzelm wyraziście z pod okularów rzucił na mnie wejrzenie.

Ciotka jeszcze powtarzała.

— Tak wcześniej!... niewiedzieć co!...

Wtem siódma uderzyła na zegarze, stojącym w sali.

— Pułkowniku, sygnalizuj! — zawołała ciotka Balbina.

Pułkownik wstał, uchwycił lichtarz ze stołu i poszedłszy z nim do okna, po kilkakroć nim wywijał.

Przyznam się szczerze, iż na razie byłem więcej przestraszony, niż zaintrygowany temi sygnałami pułkownika.

Gdy tenże wrócił i z miną poważną postawiwszy lichtarz, usiadł, chciałam już go zapytać co to znać, gdy ciotka zawołała do pana Anzelmą :

— Kapitanie, sygnalizuj!

Wyłupiłem oczy.

Pan Anzelm wstał i potoczył swoją pulchną osobę ku drzwiom, prowadzącym do dalszych pokojów; uchylił je i w progu trzy razy na gwizdawce, którą nosił w kamizelce, zagwizdał.

Wrócił i usiadł.

Wahałem się, czy żądać wytłomaczenia, wreszcie ciekawość przemogła. Otworzyłem usta, ale równocześnie zrobił się hałas w domu i dwoje drzwi się roztwarło.

Dwóch drabów z pośpiechem wniosło dwa dymiące półmiski jedzenia.

Drugimi drzwiami wkroczyły powoli i cicho jak widma, cztery postacie kobiece.

Każda z nich ubrana była w podobny sposób, jak moja ciotka. Każda wiekiem do niej była zbliżoną.

Defilowały, kłaniając się zaraz, minawszy próg, ukłonem pół męskim, połową kadłuba, mej ciotce i mnie.



Ja wstałem na razie.

— Siadaj-że!... niewiedzieć co! — zamruczała ciocia Balbina. — Ot, panna Petronela Dąbrosówna, koliczatka nasza, bo córka brata stryjecznego, starościca Dźwinogrodzkiego—mówiła, podczas gdy przy pułkowniku siadała wyprostowana i wychudzona staruszka.

Ciotka dalej rekomendowała, a postaci przesuwają się, i cicho jak widma, siadały.

O ile sobie przypominam i nie ręczę za dokładność nazwisk, siadały prócz panny Petroneli, przy ogromnym stole: pani Duclos, francuska, niegdyś gubernantka cioci, otyła i poważna dama, którą znałem z opowiadania mego ojca; Olimpka, sześćdziesięcioletnia wychowanka ciotki, pełniąca obowiązki ochmistrzyni dworu kołodziejowskiego—i „pani mecenasowa“ Karasińska, której mąż był, jak dodał pułkownik nawiasem, mecenasem i zaufanym pana wojewody lubelskiego.

Te siedm osób, prócz mnie, reprezentowało około czterysta i kilkudziesięciu lat.

Wszystkich oczy kierowały się na mnie, który widocznie byłem ewenementem w Kołodziejówce i miałem rozbawić to towarzystwo.

Uwagę moją ścigał tymczasem głównie pan Anzelm, którego wejrzenia rzucane z pod okularów, badał wczę i jakby podejrzliwie na mnie, bardzo mnie bawiły.

Damy wprowadziły ze sobą pewną wesołość.

Pułkownik już coś ożywiającego gwarzył z panną Petronelą.

Pan Anzelm pełen był poważnej galanteryi względem pani mecenasowej.

Olimpka krzątała się jeszcze między kredensem a stołem, kompletując jego obfitą zastawę.

— Grzesiu, podaj! — odezwała się ciotka i równocześnie wsunął przed nią olbrzymi półmisek zrazów pływających w sosie, niemłody już, herkulesowej budowy mężczyzna, ubrany dość oryginalnie.

Za nim stał z drugim półmiskiem kartofli również tęgi wyrostek.

Obserwowałem tych lokajów cioci Balbiny, gdy mnie pan Anzelm trącił.

— Hrabio dobrodzieju: „bis repetita placet“, jak honor kocham, może teraz napijemy się nalewki, roboty samej dobrodziejki.

Kieliszek stał nalany, wychyliłem go w ręce pana Anzelma, mówiąc:

— W ręce pańskie, panie kapitanie!

Pan Anzelm uśmiechnął się i godnie kiwnął głową, zerkając na pułkownika z nieokreśloną miną zadowolnienia, która dosadnie mówiła:

— A widzisz? co? Tak i kapitan!

Półmisek, a raczej stół mały, wsuwano przedemnie.

Ciocia Balbina wskazała ręką zraza, którego miałem wziąć.

Wzbraniałem się wziąć przed damami,

Pan Anzelm spojrział na mnie prawie ze zdziwieniem.

Ciotka zawołała z oburzeniem:

— Niewiedzieć co bratanek wyprawia!...

-- Święte prawa gościnności, jak honor kocham! — dodał pułkownik.

Damy spojrzały na mnie z admiracją, a pani Duclos wykrzyknęła złamaną już francuzczyzną, uśmiechając się do mnie:

— *On reconnaît un seigneur du grand monde, Madame*—a do mnie: *Monsieur le Comte, Vous avez été en France.*

— *Qui, Madame*—odparłem.

— *On le voit, Monsieur le Comte!*

Tymczasem półmiski posuwały się coraz dalej i przyznać muszę, że ani przedtem, ani później, nie widziałem nigdy podobnych apetytów.

Pan Anzelm odrazu wziął dwa zrazy takiej wielkości, że wątpiłem, czy da radę jednemu.

Brał ostatni, a opuszczający go półmisek jeszcze by mógł pożywić drugie takie zgromadzenie.

Cisza panowała podczas jedzenia, którą przerywało od czasu do czasu wezwanie kogoś z biesiadników do służby:

— Grzesiu, podaj mi jeszcze!

Grześ, chłop jak dąb, wkroczył z półmiskiem.

Pojmujecie moje zdziwienie, gdy pan Anzelm zażądał jeszcze półmiska i z tym samym apetytem pałaszował trzeciego zraza,

Konwersacya była przeważnie między ciocią Balbiną a mną prowadzona. Wszyscy, widziałem, połykali



każde moje słowo, a panu Anzelmowi zdawałem się grubo imponować.

Po zrazach, gdy z błogością spoglądałem na samowar, zmieniono talerze, zmieniając noże i widelce tylko ciotce, mnie i pani Duclos — wniesiono półmisek z legominą.

Apetyty trwały dalej.

Gwar zapanował w towarzystwie.

Pan Anzelm szeptał z mecenasową. Olimpka rozmawiała przymilając się, z panią Duclos, a pułkownik dowodził coś pannie Petroneli.

Ciocia Balbina należała do wszystkich konwersacyj, słyszała wszystko i do wszystkiego się mieszała.

A traktowano ją z wielkim respektem; nawet panna Petronela, córka brata stryjecznego, starościca Dźwinogrodzkiego, mówiła do niej „dobrodziejko“.

Pan Anzelm wyciągnął zegarek, spojrzął i obracając się do ciotki, wyrzekł:

— Już trzy kwadransy i pięć minut kasztelanicowo dobrodziejko, jak herbata naciąga.

Pułkownik spojrzął na zegarek i dodał:

— Bez pięciu minut!

— I pięć minut—powtórzył pan Anzelm.

— Bez pięciu minut! — odparł pułkownik.

— I pięć minut! — powtórzył jeszcze kapitan.

Myślałem już, że wybuchnie nowa sprzeczka i zapewne byłoby na niej się skończyło, gdyby nie ciocia Balbina, która zarzuciła pelerynkę i trzęsąc głową, odezwała się:

— Asan... asan jesteś niewiedzieć co!

Pan Anzelm ucichł, ale pułkownik bardzo cicho powtórzył:

— Bez pięciu minut!

— Słyszysz, kasztelanico dobrodziejo?—poważnie odezwał się pan Anzelm.

— Proszę mnie nie kompromitować, panie, niewiedzieć co... pułkowniku... bardzo proszę!

— Bez pięciu minut, jak honor Kocham, dobrodziejo—odparł nieśmiało pułkownik.

— Jakem żyw! — odezwał się pan Anzelm głośniej i urwał, bo równocześnie ciocia Balbina srogie z podwojonem drżeniem głowy rzuciła na nich obu wejrzenie.

Ucichło, jakby makiem zasiał.

Ciotka zaczęła nalewać herbatę, a Olimpka drżącą ręką słodziła ją w dużych szklankach i roznosiła.

Co kto dostał szklankę, dziękował ciotce skinieniem głowy.

Pan Anzelm wstał i jakież było zdziwienie, gdy go ujrzał tuż przy sobie, wręczającego z najspokojniejszą miną pułkownikowi cybuch, który niedawno jeszcze był w rękach ciotki.

Sam zaś usiadł na swoim miejscu i z woreczka pęcherzowego zaczął sobie napełniać krótką lulkę.

— Napełniłem tym lepszym — szepnął znacząco przez stół do pułkownika.

Pułkownik, który już palił, skinieniem głowy potwierdził.

— *Vous ne fumez pas, Monsieur le Comte!*— zaga-  
dnęła mnie pani Duclos.

Nie miałem czasu odpowiedzieć, bo ciotka zaraz  
obróciła się do pana Anzelma i zaczęła:

— Asan jesteś niewiedzieć co!... Zamiast o go-  
ściu, to myślisz o swoim pułkowniku, a i pułkownik...  
mógłbyś pomyśleć...

A obracając się do mnie, łagodniej dodała ciocia  
Balbina:

— Wszak bratanek pali... ale to niewiedzieć co...  
przebrzydli egoiści.

Zmieniając ton, obróciła się znów ciotka do pana  
Anzelma, który skonfudowany podwójnie, lulkę dmu-  
chał.

— Asan mi smrodzisz tą tabaką... Asan przynieś  
cygara!

Pan Anzelm wstał, a pułkownik czempredzej  
z wielkiem mojem zdziwieniem zagasił fajkę i postawił  
ją przy sobie.

Kapitan wrócił wkrótce z pudełkiem cygar, któ-  
remi poczęstował mnie, pułkownika i siebie.

Podając pudełko pułkownikowi, wskazał mu pal-  
cem cygaro i szepnął:

— To dobre będzie!

Pułkownik go usłuchał.

Teraz dopiero zrozumiałem zagaszenie fajki.

Nadzwyczajna uprzejmość opanowała nagle obu,  
bo pułkownik z jednej, a kapitan z drugiej strony, czę-  
stowali mnie ogniem.

Uchwyciłem spojrzenie zadowolenia i uznania dla nich ciotki Barbiny.

Rozmowa ciągle się ożywiała i o ile pochwyć mogłem, toczyła się około polityki, robiąc się coraz więcej ogólną.

Ze zaś wszyscy razem dyskutowali, nie dużo z niej rozumiałem.

Uchwycenie wątki konwersacji było tem trudniejsze, że pan Anzelm ciągle coś mówił o Wiktusi, a ciocia Barbina znów o jakimś Napolutku.

— Co to próżno mówić — odezwał się głośniejsz pułkownik—hrabia dobrodziej, który przybywa z wielkiego świata, najlepiej nas poinformuje i spór ten rozstrzygnie.

— A tak, a tak! — odezwał się cały szereg końca stołu i wychylił się do mnie.

— Bratanek zajmujesz się polityką? — zapytała ciekawie ciotka.

— O! i bardzo! — odparłem.

— Jak honor kocham! — odezwał się, pykając cygarem, pułkownik—będzie koniec, zobaczymy!... pyk, pyk... kapitanie! Kto ma rację, czy ja i dobrodziejka?

— Zobaczymy! — zawołała ciocia, rzucając wymowne wejrzenie na pana Anzelma i dziwnie się ożywając.

Cały stół wyglądał żywo zainteresowany, pułkownik gorączkowo pykał, ciocia Barbina wlepiając we mnie swe małe oczka, czegoś niecierpliwie odemnie czekała, trzęsąc głową i zerkając raz po raz na kapi-

tana, który jeden tylko poważnie, lekko zarumieniony, z lulki dmuchał.

Cisza zapanowała, a ja nie miałem pojęcia, o co im chodzi?

— Ależ, kochana ciociu — odezwałem się — nie wiem, o co idzie?...

Szmer niecierpliwości dał się słyszeć, a ciotka tak była mego zdania ciekawą, że trzęsąc głową, tylko we mnie się wpatrywała.

Pułkownik pyknął i obracając się do mnie, zaczął:

— Ostatnie gazety piszą, że w razie... w danym razie... na Anglię rachować nam trzeba, a nie na Francję, jak honor kocham, tak piszą... Ja i dobrodziejka temu wiary dać nie chcemy, a kapitan... pyk, pyk... pan Anzelm upiera się, że tylko Anglia...

— Al — przerwałem — cóż znowu?

Cisza panowała grobowa w sali, wszystkich oczy wlepione były w twarz moją.

— Bratanku, hrabio dobrodzieju! mów, bo nie wytrzymam—zawołała ciotka, spoglądając na kapitana, którego mina w oczach spadała.

— Pomoc Francyi jest rzeczą pewną... Cesarz jest naszym największym przyjacielem. Ostatnie depesze...—mówiłem.

Nie dokończyłem, bo ciotka Balbina zarzuciła pelerynkę i wstała, rzucając straszne, piorunujące wejście na pana Anzelma.

Sam przestraszony, potoczyłem oczami po zgromadzeniu, które zapanowało w sobie oddech, pułkownik tylko pykał i pani Duclos się uśmiechała.



Rumiana twarz kapitana, zbladła jak chusta.

Ciocia Balbina wyprostowała się, oparła obie ręce na biodrach i trzęsąc silnie głową, krokiem pewnym, choć drżącym, kroczyła ku kapitanowi.

Stała przed nim, zarzuciła jeszcze raz peleonkę i wlepiając w niego swe, w tej chwili błyszczące oczka, tonem sykliwym zagadnęła:

— A co, asanie? Napolutek zdrajca? co?

Chciała mówić więcej, lecz jej brakło oddechu z rozdrażnienia.

— Co asan myślisz o Napolutku? powtórz! — zawołała.

Kapitan milczał.

— Wynoś mi się asan! — huknęła ciotka Balbina.—Precz z moich oczów!... Proszę!... zaraz!...

Giestem rozkazującym wskazała mu drzwi, którym natychmiast skonfundowany, z opuszczoną głową, wysunął się pan Anzelm.

Ciszy nikt nie przerywał.

Ciotka z rękami na biodrach, w swym wąskim opiętym kaftanie, zaczęła się przechadzać po sali, krokiem, który sam zdradzał wysokie rozdrażnienie.

Głową trzęsła i oczy wlepiała w podłogę przed siebie.

Powoli wysunęły się damy z sali, zostali tylko: Olimpka chowająca resztę zastawy stołowej do kredensu, pułkownik i ja.

Milczenie długie, nie przerywane niczem, przeżało mię nieskończenie.

Pułkownik, korzystając z chwili, w której ciotka po raz pierwszy otworzyła usta, by coś powiedzieć Olimpcu, nachylił się do mnie i szepnął bardzo cicho:

— Biedny kapitan! nie dokończył szklanki herbaty, a zwykle pije cztery!

Spojrzałem na sąsiada: na twarzy jego pomarszczonej, lecz czerstwej i zdrowej, malowało się głębokie współczucie.

Że zaś już Olimпка ukończywszy porządki, zabierała się do wyjścia, zatrzymała ją ciotka słowami:

— Moja Olimpciu, czy też pokój dla mojego bratanka ciepły? A pościel czy miękka? Dałaś ten materac w pasy, a kołdrę adamaszkową?

— Nie, kołdrę dałam szkocką—odparła Olimпка.

— Niewiedzieć co, Olimpeczko! Idź mi zaraz zmienić, toć to przecie syn imć hrabiego dobrodzieja, mojego rodzonienkiego.

Skorzystałem z tej chwili, by oznajmić ciotce życzenie udania się na spoczynek.

Ciocia uchwyciła mą głowę w obie ręce i całując mnie w czoło, rzekła.

— Bardzo ci dziękuję, bardzo! Tylko wierzmy i ufajmy Napolutkowi... Śpij dobrze, a pamiętaj, co ci się będzie śniło, bo mi musisz zdać jutro relację... Będziesz miał ciepło i wygodnie, a ja odczytam listy imć hrabiego dobrodzieja... Musisz być sfatygowany?... Mój dobry Boże! gdy pomyślę, że mam dziś w Kołodziejówce syna imć hrabiego dobrodzieja, mego brata rodzonienkiego. .

Rozczulony, życzyłem ciotce dobrej nocy.

Jakkolwiek bowiem żadnej senności nie czułem, zauważywszy po ostatniej katastrofie z panem Anzelmem ogólne pomięszanie, uznawałem moją obecność za zbytę.

Ciotka obróciła się do pułkownika:

— Hrabia dobrodziej będzie spał obok waćpana...

Proszę myśleć o gościu, a teraz go odprowadzić...

Zabieraliśmy się do wyjścia, gdy ciocia jeszcze dodała:

— A bardzo proszę waćpana, dać spokój hrabiemu dobrodziejowi i nie nudzić go polityką dzisiaj, ani żadnemi beliwerkami... niewiedzieć co...

Pułkownik z pokorą ucałował rękę ciotki i ruszyliśmy.

Pokój mój znajdował się za pokojem pułkownika.

Były to dwie izdebki schludne, ciepłe i wygodne, urządzone z tym staroświeckim komfortem, dalekim od zbytku, a dziwnie miłym, bo więcej jakąś domową wygodą i swobodą.

Ściany białe, ozdabiały sztychy polskie w orzechowych ramach; wisiało lustro z podtrzymującym go orłem z pierwszego cesarstwa, stała i kanapa twarda, drelichem kryta, o wysokich poręczach i brązowych gałkach.

Na łóżku piętrzyła się piramida poduszek i leżała duża, watowana kołdra, zielona adamaszkowa.

Pułkownik, po wymianie kilku zapytań i odpowiedzi, pozostawiwszy mi tytoń, cygara i „cybuchów po dobrodziejcu dwa“, oddalił się.

Gdym go zatrzymywał, chcąc się wypytać o zagadki dnia tego, szepnął mi tylko na ucho:

— Dobrodziejka dziś bardzo zirytowana!

Nie było co robić.

Jakkolwiek wielką miałem ochotę zasięgnąć informacyj o tem i owem od pułkownika, który mi się także zdawał lubić wieczorną pogawędkę— „*nolens volens*“ musiałem zabierać się do spoczynku.

Słyszałem, jak w drugim pokoju chodził i stukał.

Już prawie usypiałem, zmęczony temi niezwykłymi wrażeniami, z imaginacją pełną zupełnie mi nieznanych dotąd postaci i pojęć, które, przyznać muszę, prawie mnie przerażały, gdy lekko zastukano do drzwi.

— Proszę! — zawołałem.

— *Madame a oublié de Vous demander, Monsieur le Comte* — odezwał się głos pani Duclos — *si Vous prenez le matin du thé, du café, ou du chocolat.*

Odpowiedziałem, że mi wszystko jedno, ale słyszałem panią Duclos, mówiącą do pułkownika:

— *Je disais bien à Madame, que Monsieur le Comte prendrait du chocolat.*

Nie protestując, choć i czekolady nie lubiłem, obróciłem się na drugą stronę.

Moja wyobraźnia przechodziła już w senne światy, gdy znów zastukano.

— Proszę! — zawołałem.

Wszedł cicho pułkownik i oznajmił mi, że we dworze wszyscy spali i że możemy pogadać.

Odpowiedziałem, że bardzo chętnie z nim pomówię i podniosłem się na poduszkach.

Pułkownik usiadł na fotelu, cybuch przed siebie wyciągnął i zaczął:

— Dobrodzika bardzo zirytowana, jak honor kocham, pyk, pyk... lecz ma słuszość. Bo czy uwierzysz hrabia dobrodziej, że ten kapitan od trzech miesięcy, jak się uwziął na Napolutka, tak nie przestaje drażnić dobrodziejki. Co przyjdzie jaka gazeta, to gdzieś w niej wynajdzie, jak honor kocham, pyk... pyk... gdzieś coś nie *favorable*, jak mówi pani Duclos, na Napolutka i dalejże tem wojuje. Darmo mu tłómaczymy, że sprawa nasza nic nie obchodzi Anglika, że Anglia tylko obiecuje; kapitan wciąż infamie wygadywał na Napolutka. Dobrodziejka cierpliwa, bo wszystko znosiła i tylko od tego czasu przestała nazywać pana Anzelma kapitanem; ale też, jak honor kocham, miała rację. Wreszcie zaczęliśmy sami wierzyć i gryźć się, że może i kapitan politykę zagraniczną zwietrzył i prawdę, jak honor kocham, rezonuje. Ale gdy dziś przyjechał hrabia dobrodziej i nas, na podstawie wiadomości z szerokiego świata, o nieustającej przychylności Napolutka zapewnił, jejmość dobrodzika wybuchła... pyk... pyk... i masz awanturę... Kapitan dobry człowiek... uparty, prawda, lecz bardzo oczytany i rozumny... Bóg wie, co z tego wyniknie... bo i dobrodziejka nie lubi, by się jej sprzeciwiano; a pan Anzelm ambitny. Jak honor kocham, awantura!... Chciałem go widzieć, ale się i bałem, bo mieszka na drugim końcu dworu, przy lamusie... A ka-

pitan potrzebny debrodziejce, bo nikt, tak jak on, nie zadyryguje połowem, gdy spusty; i nikt tak nie spreparuje Napoleonówki i dojrzy robocizny i rachunków. Co to będzie, co to będzie?... pyk, pyk!... Gdyby jeszcze dobrodziejka była się uniosła, ale nie przy gościu... no, możeby kapitan... Ale jak honor kocham, po co mu było upierać się przy tym Angliku, po co?... Napolutek zdrajca! tak powiedzieć, he! Biedny kapitan!... co to będzie?... ha! Tak i schował gdzieś tytonie i cygara, co przywiózł z miasta, że nie wiem gdzie je jutro odzyskam? Bo widzi hrabia dobrodziej, obeszłoby się było bez wszystkiego, gdyby nie to, jak honor kocham, że dziś rano jeszcze kapitan zadeklarował, że Napoleonówki więcej robić nie będzie, bo Napolutek...

.....

Więcej nie słyszałem, bo zasnąłem w siedzącej postawie na łóżku i przez sen tylko długo jeszcze szumiało mi w uszach gawędzenie i pykanie pułkownika.

Rano, o siódmej godzinie, obudzony zostałem przez Grzesia, który palił w piecu. Suche drzewo pryskało, a płomień oświecał miłym światłem izdebkę.

Jakkolwiek fizycznie byłem zupełnie wypoczęty, moralnie czułem niejaki zamęt w głowie po wczorajszym wieczorze, który w śnie mi się jeszcze powtórzył

Z trudnością zdawałem sobie sprawę, gdzie jestem, a smutne obrazy pejzażów augustowskiego powiatu, wraz z komicznymi scenami, mieszały się w jakąś bałamutną całość.

Zdało mi się, iż gdzieś wpadłem w jakiś tak odległy i murem chińskim oddzielony od Europy zakątek, że już nigdy z niego się nie wydobędę.

Doznałem wrażenia spektatora, który wchodzi do teatru wśród trzeciego aktu, pełnego akcji przedstawienia i nie może się połapać.

— Grzesiu!—zapytałem—wszyscy śpią zapewne?

— Kiej tam, panie grabio—odparł swym grubym głosem kamerdyner cioci. We dworze aż jęczy!

— A cóż takiego się stało? — zawołałem przestraszony.

— Jaśnie pani wstaje zwykle o piątej; a dziś to się wszystko pobudziło i do kuchni zważyło, bo pani Duklasowa coś tam fabrykuje i baby się kłóca.

— Co takiego? Gadaj!

— Co? coś w łeb wlało Francuzicy z jakąś szokoladą i tam wszystkie, jak jakie czarownice, prażą. Mecenasowa mówi, że trzeba mieszać ze śmietaną; panna Petronela się irytuje, że z wodą; a nasza Olimpijka chce jeszcze inaczej.

Zaledwie mogłem powstrzymać homeryczny śmiech nad tą szokoladą, której byłem powodem, lecz bałem się sparaliżować w swej relacji Grzesia i dalej pytałem:

— A cóż jaśnie pani?

— Ot — odparł Grześ — jaśnie pani, jak jaśnie pani, niewiedzieć co! Pozwala tym jejmościom dunderować po kuchni, a sama praży garnuszki ze śmie-

tanką do kawy. Gorsza bieda, że kapitana niema — dodał Grześ ciszej — ale jaśnie pani jeszcze nic nie wie...

— Jakto niema?

— Niema, jak kamfora się w nocy gdzieś podział. Mikołajek poszedł palić w piecu, patrzy, a tu łóżko próżne... niema kapitana! Woła mnie; niema. Chryste Jezul i tobołka niema!...

Grześ wstał, bo w piecu już huczało i zabrawszy moje buty i ubranie, wyszedł.

Niedługo jednak byłem sam, bo o ósmej zapukał do mnie pułkownik w kamizelce aksamitnej kawowej, w szerokim czarnym krawacie.

Wszedł i po „dzień dobry“ zaraz, załamując ręce, zawołał stłumionym głosem:

— Nieszczęście, hrabio dobrodzieju!

Zerwałem się zestraszony.

— Nieszczęście—powtórzył pułkownik—kapitan w nocy uciekł; dobrodziejka jeszcze nic nie wie.

Ochłonąłem, bo spodziewałem się czegoś gorszego, po minie pułkownika.

— Hrabio dobrodzieju!—ciągnął dalej po chwili—ósma dochodzi, a o ósmej śniadanie generalne. Co to będzie, co to będzie bez kapitana?... jak honor kocham! A tytoniu odszukać nie mogłem.

Czemprędzej się zebrawszy, podążyłem z pułkownikiem na śniadanie.

W sali jadalnej wszyscy byli zgromadzeni, a wiało w niej jakies święteczne powietrze.



Ciocia Balbina była strojną i odmłodzoną. Cze-  
piec duży z koronkami i wstążkami cytrynowemi, ubie-  
rał jej głowę. Pukle liczne zafryzowane i powiększo-  
ne, mile uzupełniały jej długą twarz. Suknię miała  
jedwabną popielatą, a długi, taki sam jak dnia wczor-  
ajszego, kaftan z pelerynką, był koloru ciemno-ziele-  
nego, z ciemnego sukna.

Reszta towarzystwa odpowiednio się wyświeżyła,  
Panna Petronela zawiesiła wenecki łańcuszek  
emaliowany z zegarkiem, na szyi, a mecenasowa ude-  
rzyła mnie broszą staroświecką.

Zaledwie sobie mogłem wbić w głowę, że to nie  
była niedziela w Kołodziejówce.

A do reszty mnie obalamucił Grześ, który wczor-  
aj był w jakimś kozuchu, a dziś wystąpił w butach  
wysokich, spodniach drelichowych i surducie granato-  
wym, z dużemi herbowemi złotemi guzikami.

Stół zastawiony srebrami staroświeckimi i przy-  
smakami, odpowiadał doskonale tej całości, przynoszą-  
cej mnie w początek stulecia.

Ciotka uściskała mnie i wskazała miejsce obok  
siebie, poczem wszyscy usiedli.

Przed każdym stały dwa dzbanuszki; mniejszy  
i większy, z kawą i śmietanką. Przed ciotką i prze-  
demną, te dzbanuszki były porcelanowe i bardzo piękne;  
przed innymi, zwykle gliniane wypalane.

Z przestraczem ujrzałem naprzeciwko siebie, ró-  
wnież dzbanuszki i ogromną szklanekę, stojące na  
opóźnionem miejscu pana kapitana.

Nastrój był poważny : ciocia Balbina wypytywała mnie o spędzoną noc, wszyscy słuchali i zdawali się być przejęci uroczystością dnia, strojów i zastawy.

Ciotka jednak widocznie jeszcze nie wiedziała o ucieczce pana Anzelma, katastrofa mogła więc nastąpić lada chwila. Spieszyłem się też ze spożyciem śniadania, nimby chwila onej nadeszła.

Uczucie to powodowało i innymi.

Grześ stał na rozkazy.

Właśnie dopijałem mojej czekolady, którą niestety, w dzbanuszkę znalazłem, zamiast kawy, bacznie śledzony przez panią Duclos, gdy ciotka zapytała z emocją :

— A kapitan gdzie?

Milczenie było odpowiedzią, Grześ tylko wybiegł z pokoju i długo nie powracał.

Ciotka z pewnym niepokojem dopijała kawy i ze mną rozmawiała. Pułkownik ni w pięć, ni w dziewięć coś prawił z panną Petronelą.

Katastrofa wisiała w powietrzu i paraliżowała wszystkim języki.

— A kapitan gdzie? — powtórzyła ciotka, obracając się do pułkownika, który opuścił niedopitą szklankę i natychmiast wyszedł.

Obaj z Grzesiem nie wracali, a czas zdawał się być strasznie długim.

Wreszcie pojawił się Grześ.

— Kapitana niema!—zawołał, jakby się dopiero co o tem dowiedział.

— Niewiedzieć co! — szepnęła ciotka i zabrała się do nalewania herbaty, którą zaraz po wypiciu kawy Olimpia roznosiła.

Wrócił i pułkownik.

— Kapitana niema, dobrodziejko! — zawołał odedrzwi.

— Jakto, niema? — zawołała ciotka.—Co waćpan pleciesz? niewiedzieć co! Gdzieżby się podział?

Pułkownik usiadł na swoim miejscu, trącił mnie łokciem, jakby wzywając mojej pomocy i milczał.

— Waćpan mi przyprowadź kapitana! — powtórzyła ciotka.

Chrząknąłem i tak zacząłem.

— Kochana ciociu, jak widzę, boją się wszyscy cioci powiedzieć prawdę..

Ciotka strasznie zaczęła trząść głowę, bystro mi się przypatrując i już sięgając ręką do pelerynki.

Ja dalej ciągnąłem:

— Kapitan nie nocował we dworze, ulotnił się gdzieś w nocy.

Twarz ciotki Balbiny pokryła się rumieńcem tak silnym, że ogarnął całe jej pomarszczone oblicze.

Milczała, wodząc swemi małemi oczkami po całym zgromadzeniu.

Wreszcie zaczęła:

— Jakto? I nikt w całym dworze dotąd nie wiedział, że kapitan...

Nie dokończyła ze wzrastającego rozdrażnienia, a milczenie panowało grobowe.

Natrząsłszy się głową dobrze i każdemu z osobna przypatrzywszy, obróciła się ciotka do pułkownika:

— I waćpan nie wiedziałeś? — zapytała głosem bardzo stanowczym.

— Wszak kasztelanica dobra i dobrodziejka zakazałaś mi stukać po nocach we dworze; zkądże miałem wiedzieć, jak honor kocham?

— Daj mi waćpan pokój ze swoim honorem! — krzyknęła ciotka. — Waćpan mi kapitana wypędziłeś!

— Ale, jak honor kocham, dobrodziejko...

— Kasztelanico dobrodziejko! — przerwała ciotka. — Waćpan się zapominasz!

— Otóż, jak honor kocham, kasztelanica sama mu kazała wczoraj się wynosić.

Tego było już zawiele.

Ciotka zerwała się z krzesła, wyprostowała i zawołała:

— Waćpan mi wypędziłeś kapitana! Waćpan mi go wczoraj skonfundowałaś przy hrabi dobrodzieju, synu mego brata rodzoneńskiego. Waćpan mi go zirytowałaś tem kapitaństwem... niewiedzieć co!... Lepszy kapitan niż pułkownik! Wiedz o tem waćpan, iż tak zawsze mówił nieboszczyk dobrodziej! Waćpan jesteś mi bez kapitana niepotrzebny... Waćpan jesteś do niczego!... Waćpan niewarteś butów czyścić kapitana!... Waćpan...

— Ależ Napolutek! — zawołał z desperacją, przerywając, pułkownik.

— Napolutek! — huknęła ciotka. — Waćpan mi się wynoś!

To powiedziawszy, wybiegła sama z pokoju.

Wszystkich sił używałem, by się nie roześmiać śmiechem nie do powstrzymania, a byłby on nie na miejscu w przerażonym towarzystwie.

Pani Duclos jedna obracając swą twarz do mnie i ze smutkiem kiwając głową, odważyła się otworzyć usta :

— *C'est que Madame est furibonde.*

Ja także ze współczuciem głową kiwnąłem, myśląc, że nie długo wytrzymam w tej tak zajętej swemi domowemi sprawami, Kołodziejówce.

Wpadł Mikołajek i zawołał zadyszany :

— Jaśnie pani woła pana pułkownika.

Ten wybiegł, a za nim i Grześ.

Wkrótce wpadł napowrót Grzesio i zawołał :

— Panna Olimpia do jaśnie pani !

Zaledwie wybiegła Olimpka, powrócił pułkownik i skinął na panią Duclos; ta natychmiast z nim razem wyszła.

Rozmawiałem z panną Petronelą, która mi opowiadała podobny wypadek u starościca Dzwino grodzkiego, gdy wpadł ponsowy na twarzy pułkownik i wysłał pannę Petronelę do dobrodziejki.

Sam zaś usiadł przy mnie i gorączkowo zaczął naładowywać fajkę.

Spytałem go, co się dzieje u ciotki ?

— Sodoma, jak honor kocham—odparł cicho pułkownik — i jak hrabia dobrodziej nie wejdzie w to wszystko, porozpędza nas wszystkich dobrodziejka.

Wystaw sobie hrabia dobrodziej, co za ambitna sztuka ten kapitan... Spakował się w nocy i wyniósł do chłopca na wieś, z kąd, jak mówią, wyjedzie do Bębnowki, gdzie dawno już go ściąga generałowa!... Sodoma, jak honor kocham... A trzeba wiedzieć hrabiemu dobrodziejowi, że generałowa z dobrodziejką są na bakier... ho, ho... od lat niepamiętnych... Co to będzie... co to będzie...! Kazala mi dobrodziejka iść na wieś i sprowadzić kapitana... Nie powróci... to cierpliwy, ale zażarty człowiek... Wiem ja z góry, jak honor kocham!

— Więc pułkownik udasz się zaraz do kapitana? — zapytałem.

— A! zaraz, zaraz, tylko fajkę wypalę i wykombinuję, jak tu zacząć z panem Anzelmem...

Wtem weszła także w świeżych kolorach pani Duclos i oświadczyła mi z konsternacją:

— *Madame vous fait demander chez elle, Monsieur le Comte!*

Pobiegłem więc i ja, przeprowadzony do gabinetu ciotki przez panią Duclos. Otworzywszy mi drzwi, cofnęła się.

Znalazłem się sam na sam z ciotką.

Pani kasztelanica z rękami na biodrach, pochylona naprzód, z zarzuconą pelerynką i rozwiązaną cytrynową kokardą od czepca, mierzyła pokój krokami dużymi i miarowymi.

Wskazała mi tylko fotel poręczowy, na którym usiadłszy, zacząłem się rozglądać po gabinecie ciotki.

Burko męskie więcej, niż niewieście, stało pomiędzy oknami, bokiem do ściany przybliżone.

Przed niem fotel gdański, wybity wyciskaną i zużytą skórą; na drugim takim samym siedziałem.

Na biurku leżały stopy szpargałów, księżek i różnych przedmiotów, z różnych pochodzących epok.

Zauważyłem piękny biuścik brązowy ks. Józefa i gdański z XVI wieku, skrzynkowy zegarek.

W oknach wisiały firanki perkalowe białe, w czerwony desenik i zakrótkie do wysokości pokoju, który się nie różnił od innych. Przy ścianie, naprzeciw biurka, stała kanapka w kształcie skrzyni, wybita ostrą, niezdartą materią z włosienia. Nad nią wisiał portret mężczyzny z XVIII wieku, dobrego pendzla.

Przy takiejże ścianie z drugiej strony biurka, stała skrzynia.

Ta skrzynia pociągnęła mój wzrok. Był to przepyszny zabytek z dawnych czasów. Duża, prostokątna, na wszystkie strony była okuta polerowaną stalą, przez rdzę jedzoną, powycinaną w różne desenie, poprzybijaną złotem gwoździkami. Prócz kątnych i bocznych okuć, cała skrzynia była takąż blachą w kratkę skośną wybita. Środki kratki tych, wolne od żelaza, były kiedyś kryte zielonym jasnym aksamitem.

Właśnie zamyśliłem się nad przeszłością tej skrzyni i okolicznościami, w jakich ten przedmiot dostał się do ciotki, gdy ta przemówiła:

— Kochany bratanek przypatruje się tej skrzyni? Antyk... niewiedzieć co, ale w niej pustki... wierutne pustki, bo kto by się czego dorobił w tych błotach i z takimi niezdarami!...

Ciotka usiadła przy biurku na fotelu, oparła obie ręce na poręczach dębowych i trzęsąc głową, tak dalej mówiła:

— Sprowadziłam kochanego bratanka, hrabiego dobrodzieja do siebie, by go przeprosić za te awantury i herezye... niewiedzieć co, moich niedołęgów... Bardzo przepraszam... bardzo!

Ciotka oparła się łokciami o biurko, poprawiła drugą ręką fałdy swej popielatej sukni i dalej ciągnęła: wskazując oczami na list mego ojca, leżący i nieodpieczętowany na biurku.

— Ot! i listu od hrabiego dobrodzieja, brata mojego rodzoneńskiego, nie miałam czasu odczytać.

— Rozumiem, kochana ciociu, jej kłopot—przerwałem — ale o odpowiedź bym prosił, gdyż ojciec mi polecił, jak najprędzej wracać...

— Niewiedzieć co!—przerwała dość szybko ciotka — przeczytam to ukochane pismo i responsu dać nie omieszkam, ale wprzód muszę się załatwić z tymi niedołęgami. Czyś ty, hrabio dobrodzieju. słyszał kiedy o takiej krnąbrności, jak tego, niewiedzieć co... kapita... Uciekł, jak zbieg jaki i zostawił mi w największym nieładzie rejestra, rachunki... niewiedzieć co... i to wszystko przez tę konfuzję, jaką mu wczoraj zrobił pułkownik przy najukochańszym bratanku... niewiedzieć co...

Ciotka się zapalała i sięgała ręką do pelerynki, więc czempredziej dodałem:

— Ależ, zdaje mi się, iż pułkownik udał się do kapitana i nie wątpię, że go sprowadzi!



— Nie wątpi bratanek? Chwała Bogu! — westchnęła ciotka z głębokim wyrazem przygnębienia i dalej mówiła spokojniej.—Bo widzisz, kochany bratanku, przed tobą tańc nie będę, choć broń Boże, by kto tego nie wymiarkował lub nie spenetrował... kapitan mi jest potrzebny. Nie wiele umie, niewiedzieć co, i bardzo dużo wypija mi herbaty i wypala przednich cygar i tytoniu... ale... ale do niego się przyzwyczałam. I proszę kogo, dziś mi nie wydał na folwark dyspozycyi...

Ciotka się zamyśliła, oczy utopiła w kącie pokoju i dalej już, jakby sama do siebie, mówiła:

— Posłałam pułkownika, niech naprawia, co narużdził ze swoją wojskową ambicyą. Pułkownik mi niepotrzebny, kapitan mi potrzebny! A ktoby pilnował strzyży, czy spustów; ktoby ważył kupcom ryby?...

Ciotka się ocknęła i znów na mnie swój wzrok kierując, dalej mówiła:

— Niewiedzieć co, ryby? Boże, pożał się! Bo wystaw sobie hrabia dobrodziej, kochany mój bratanek, że w tej Koldziejówce to i ryby rosnać nie chcą; w tych błotach karasie same i to drobiazg, ot, tyle... niewiedzieć co...

Przytem ciotka wyciągnęła do mnie swą chudą rękę i pokazała mi na dużym palcu rozmiary tych karasi.

— Ale i za to dzięki Bogu, bo gdyby nie te rybki, tobyśmy nie mieli na cukier i kawałek mięsa... niewiedzieć co... Pułkownik nie wraca... a tu, ot i dziesiąta na zegarze.

Widząc, że ciotki głowa li tylko powrotem kapitana była zajęta, oświadczyłem gotowość dowiedzenia

się, czy już pułkownik powrócił i w tym celu wybiegłem z pokoju.

— Idź, idź... a wracaj — były ostatnie słowa ciotki, która wydawała się bardzo zadowolnioną z interwencji mojej w tej doniosłej, jak miarkowałem, sprawie.

Udałem się do sali jadalnej, gdzie zastałem zgromadzone niewiasty.

Panna Petronela cerowała pończochę przy oknie, mecenasowa wywijiała szpilkami od trykotu włóczkowego, a pani Duclos wzdychała i popijała herbatę.

Wszystkie trzy z mojem wejściem urwały ożywioną rozmowę.

— Pan pułkownik nie wrócił?—zapytałem.

— *Malheureusement, Monsieur le Comte, pas encore*—odparła z westchnieniem pani Duclos.

Za nią westchnęła głęboko panna Petronela i zaraz potem jeszcze głębiej mecenasowa.

Jeszcze echo tego ostatniego westchnienia nie ucichło, gdy na nowo rozpoczęła trio westchnień pani Duclos.

— Panie wyglądają przerażone, czy może zniknięciem kapitana?—zagadnąłem uśmiechnięty.

Wszystkie trzy spojrzwały na mnie ze zdziwieniem i prawie trwogą.

Pani Duclos wzniosła oczy do nieba, jakby tylko ztamtąd spodziewała się pomocy.

— Nie wiem... dalibóg nie wiem, co dobrodziejka zrobi bez kapitana—odezwała się panna Petronela.

— Gdyby nie generałowa... — wtrąciła mecenasowa swym grubym głosem.

— Ach! *mon Dieu* — odezwała się i pani Duclos dziwną polszczyzną — piekło dziś będzie w Kołodziejówce. Dobrodzika tak do kapitana *habituée*.

— Co tam pani bredzisz z habitem! — odezwała się zaraz mecenasowa — tu nie o habit chodzi, tylko o kapitana!

— Właśnie mówię to — przerwała Francuska — że dobrodziejka tak się do kapitana piswiciiała...

Panna Petronela z pogardą i uśmiechem politowania ruszyła ramionami, a pani Duclos obróciła się do mnie i dodała:

— *Sauvez nous, Monsieur le Comte!*

— I to jeszcze dzisiaj wyprawiał taką awanturę kapitan—zaczęła znów panna Petronela—gdy właśnie dobrodziejka ma honor przyjmowania w swym domu.

Wtem drzwi się otworzyły i wbiegł pułkownik, mocno zadyszany i zarumieniony. Wszyscy rzuciliśmy się ku niemu.

— Jak honor kocham, tak się nie spodziewałem tego po kapitanie—zaczął zaraz pułkownik — zacięty, zazarty!... Dyktuje dobrodziejce warunki... Sodoma, Gomora... hrabio dobrodzieju. A gdzie dobrodziejka?... bo ja ucieknę, ja się gdzie schowam, ja nie wytrzymam...!

Pułkownik zaczął wielkimi krokami chodzić po sali i mruzczyć, wreszcie stanął przed nami i odezwał się:

— Ja warunków pana Anzelma dobrodziejce, jak honor kocham, nie powtórzę!

— Jakie warunki?—zapytałem.

— *Des conditions...* Hm, hm... — mruknęła i pani Duclos, kiwając głową.

Panna Petronela i mecenasowa wyglądały przybite, miną pułkownika i samą perspektywą tych warunków pana Anzelma.

Pułkownik uchylił drzwi od sąsiedniego pokoju, wyjrzał, przymknął je i powrócił między nas, a wszyscy stali w gromadce przy oknie.

I cicho, półgłosem, jakby się bał, by ściany nie słyszały, wylupiając swoje jasne oczy, z miną wystraszoną i wzburzoną, wybelkotał:

— Kapitan waryuje!

Wszyscy aż drgnęli.

— Kapitan waryuje! —powtórzył głośniejszym pułkownik i odbiegł od nas, by dalej mierzyć salę ogromnymi krokami.

— Te warunki?—zawołała półgłosem Petronela.

— *Des conditions... grand Dieu!*—mruczała pani Duclos.

Pułkownik tymczasem zapalił fajkę, w której wiecznie spoczywał niedopalony tytoń i trochę uspokojony, znów się do nas zbliżył.

— Ciotka czeka—zagadnąłem.

— Czekaj jak honor kocham! — zawołał ciągle tymże przytłumionym głosem pułkownik — czeka dobrodziejka?... Sodoma.. pyk, pyk... Kapitan dyktuje

warunki... ale ja nie powtórzę, jak honor kocham. Bo słuchajcie państwo i osądźcie sami, czy mogę takie herezye dobrodziejce powtórzyć. Kapitan żąda... pyk, pyk...

— Na Boga! nie pykaj pułkownik, tylko mów!—zawołała czerwona od niecierpliwości mecenasowa.

— Kapitan żąda, słyszy hrabia dobrodziej?—zaczął pułkownik—by dobrodziejka nigdy więcej nie nazywała go asanem...

Wszyscyśmy milczeli, a na twarzy trzech kobiet malowało się wzrastające przerażenie.

Pułkownik dalej ciągnął:

— Dalej żąda ten heretyk, by dobrodziejka sama do niego napisała, na-pi-sa-ła!

Stłumiony okrzyk oburzenia wydarł się ze wszystkich piersi.

— Czy myślicie, że to wszystko? — zapytał pułkownik, chwytając za rękę mnie i pannę Petronełę.— Sodoma, jak honor kocham: żąda dalej, by dobrodziejka pozwoliła mu na codzień, w dnie powszednie, palić cygara!

— Aaaa... aaa...—zakrzyczały wszystkie starszki z nadzwyczajnem oburzeniem, a pułkownik szybciej już kończył gwałtownie pykając, bo fajka ciągnąć nie chciała:

— Żąda dalej, by wolno mu było mieć o Napolitku własne przekonania...

— To za wiele!—jednogłośnie zawołały trzy pa-

nie i jakby zniechęcone, ruszyły się, ale pułkownik je zatrzymał.

— Pyk, pyk, pyk... A do dyabła, pochował wszystkie suche tytonie, ten heretyk... Żąda dalej... by . dobrodziejka... posłała po niego na wieś... żółty kocz, jak honor kocham.

Milczenie zapanowało grobowe.

Panna Petronela głośno się przeżegnała:

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!...

Mecenasowa upadła na krzesło.

Pani Duclos szeptała:

— *Grand Dieu! la voiture de Madame!*

Pułkownik już chodził po pokoju i szeptał tylko.

— Żółty kocz, jak honor kocham! Kapitan zawarował; żółty kocz!

— Pułkowniku! — zawołałem — a teraz chodźmy do dobrodziejki zakomunikować jej żądanie kapitana.

Panie spojrzały na mnie z podziwem.

— Tych bredni niepodobna powtarzać! — zaopnowała mecenasowa, a panna Petronela dodała:

— Kuzynku i hrabio dobrodzieju, wejdz w to nieszczęście, bo inaczej...

Nie dokończyła, tylko spojrzała na miniaturowy zegarek, wiszący na jej piersiach na łańcuszku.

— Jedenasta! Jezus, Marya! Jeśli jeszcze do obiadu kapitan nie powróci!... Dobrodziejka już rano kawy nie dopiła i zjadła tylko dwa sucharki.

— A zwykle je trzy — wtrącił pułkownik.

Ulitowałem się nad tem nieszczęściem w koło-

dziewowieckim dworze i całym sercem postanowiłem ukończyć przed obiadem ten stan wojenny kapitana z ciotką.

— O którejże obiad?—zapytałem.

— Zwykle bywa o dwunastej — odpowiedziała panna Petronela—ale dziś, z okazji uroczystości, dobrodziejka na drugą dysponowała.

— No, chodźmy, pułkowniku — zawołałem i ruszyłem w stronę gabinetu ciotki.

W salonie, któryśmy mijali, zatrzymał mnie pułkownik i z miną wystraszoną zapytał:

— A jakże będzie z temi warunkami pana Anzelma? Bo jak dobrodziejka usłyszy słowo: „warunek“ tak gotowa jeszcze, jak honor kocham, nas znieważać.

— Cóż znówu, pułkowniku—zawołałem—galanterya wojskowa?

— Aha! galanterya! prawda!

Zrobiliśmy kilka kroków, pułkownik znów mnie zatrzymał.

— Hrabio dobrodzieju! ja o koczu nie powiem.

— No, chodźmy, to ja powiem!

Jużem brał za klamkę gabinetu ciotki, gdy pułkownik jeszcze mnie przytrzymał i wyszeptał:

— Hrabio dobrodzieju! ja i o Napolutku i o cygarach nie powiem!

— No, dobrze!

— Jak honor kocham, jak tu powiedzieć dobrodzieje o warunkach tego heretyka?

Stanęliśmy obaj.

— No, to nie mów pułkownik—odezwałem się— o warunkach, tylko o kondycjach.

— A... tak... co to ogląda wielkoświatowa! Kondycje!... bardzo dobrze!...—mówił stary.

Nacisnąłem klawkę i znaleźliśmy się obaj w gabinecie ciotki, która zamysłona siedziała na tem samym miejscu.

Mnie wskazała fotel, na pułkownika srogo spojrziała.

Pułkownik stał, jakby trzech zliczyć nie umiał.

— Widoku waćpana ścierpieć nie mogę — odezwała się ciotka—ale skoro przychodzisz pod protekcją brabiego dobrodzieja i syna mego brata rodzoneńskiego, to siadaj waćpan, niewiedzieć co!

Pułkownik usiadł i błagalne spojrzenie rzucił na mnie.

Przyznać się muszę, że i mnie na razie udzielił się strach, panujący pośród domowników ciotki, która coraz bardziej nerwowo głową trzęsła.

Zacząłem o kondycjach pana Anzelma.

Ciotka, siedząc prawie na krawędzi fotelu, wsparta łokciami na poręczach, zaciekawiona słuchała.

Uśmiechała się, gdym mówił o „asanie“ i o cygarach, bo też i ubrałem te żądania w słowa, przedstawiające je ciotce w sposób jowialny, jakby prośby popsutego dziecka.

Pułkownik przypatrywał mi się z uwielbieniem.

Ale gdym doszedł do listu, który ciotka do kapi-



tana własną ręką nakreślić miała, zauważyłem zmianę w jej fizygnomii.

— Niewiedzieć co! — szepnęła tylko i zarzuciła pelerynkę.

Przyszła kolej na Napolutka.

— Jaktol — przerwała ciotka, obracając się do pułkownika.— Waćpan... jakbyś mi przyniósł od kapitana... kondycye... niewiedzieć co?..

Czemprędzej starałem się zażegnać tlejące już zarzewie pożaru i zacząłem prawić o uporze politycznym starych żołnierzy.

— Hrabia bratanek niech mi nie uniewinnia tego buntownika... niewiedzieć co!—przerwała.

— To heretyk!—wtrącił pułkownik.

— Waćpana się o nic nie pytam! — huknęła dobitnie ciotka. — Proszę.. pan Anzelm... kapitan, proszę... Napolutek... — wypuszczała powoli w rozdrażnieniu.

Kapitan spojrział na mnie desperacko.

Jeszcze była kwestya kocza.

Zacząłem:

— Kochana ciociu, kapitan tak się zgryzł wczorajszym gniewem cioci, iż... poprostu zasłabł..

Przerwał mi pułkownik, który się zakrztusił, prawdziwie, czy udanie — i czemprędzej opuścił gabinet. Brakło mu może odwagi słuchać.

Dokończyłem więc sam z pewną obawą i słuszną, bo skoro tylko wymówiłem ostatnią kondycyę kapitana i choć ogólnikowo powiedziałem o powozie,

unikając definicyi tego żółtego kocza, ciotka się zerwała.

— Powóz asanowi... proszę... niewiedzieć co! Może żółty kocz? A hultaj!... bizu! Sto batów-by dał dobrodziej nieboszczyk...

Ciotka biegła po pokoju.

Staneła przedemną i tonem prawie płacziwym mówiła:

— Oto być samą... wdową... niewiedzieć co... bez opieki męskiej... Byle kto przewodzi... taki kapitan.. żeby kapitan!

Ale znów się zapaliła i głośniej, bardzo głośno wołała:

— Powóz asanowi.. jabym po niego powóz posłała! A to nigdy w landarze nie siedziało... niewiedzieć co... toćby się chłopci za boki brali... Kapitan w koczu kasztelanicy dobrodziejki! Powóz asanowi! sto batów na dywanie, jeśliś szlachcic mospañiel... Gdyby to słyszał dobrodziej!... Poczekaj asanie! poczekaj!...

Ciotka, jak miarkowałem, nie prędko miała ochłonąć. Wybiegłem więc z pokoju, by obmyśleć ostateczne środki załagodzenia tej sprawy, która życie w Kołodziejówce robiła niemożliwym.

Za drzwiami gabinetu zastałem pułkownika:

— A co, pułkowniku, słyszałeś?—zapytałem.

— Admirowałem tylko hrabiego dobrodziejja, bo na mnie aż pocierpło, jak honor kocham!—odparł pułkownik.

Podążyliśmy razem do sali, gdzie trzy staruszki także zapewne pocierpły, bo głos donośny dobrodziejki do nich dochodził.

Zjawiała się i Olimpia.

— Obiad będzie wyśmienity! — zawołała ode drzwi—ale go nikt już nie będzie jadł, jeżeli kapitan nie powróci. .

Nagle mnie zobaczyła i zawstydziła się, rumieniąc jak panienka.

Pułkownik chodził i szukał tytoniu.

Powietrze było ciężkie w Kołodziejówce, bo wszystkim tym starym automatom brakowało nieodrodnie kapitana.

Postanowiłem sam udać się z pułkownikiem do pana Anzelma, rachując dużo na moją aureolę syna JMć pana hrabiego, brata rodzoneńskiego dobrodziejki.

Plan mój z radością powitał pułkownik, a z najwyższą admiracją rezydentki.

Pobłogosławiony prawie przez nie, wyszedłem z pułkownikiem na dziedziniec.

Ten zauważył.

— Wszystko, jak honor kocham, popsuje ten heretyk!

— A co?—zapytałem.

— Nie czujesz hrabia dobrodziej z kuchni, jak zalatuje zapach zwierzyny..? bekasy, czy dubelty, jak honor kocham..! A czuję i szczupaka w jajach... Olimpijka mi powiedziała, że będą i marcepany... Za-

gryzie się kapitan... A jaki uparty!... Co on tam będzie jadł u chłopca?

Minęliśmy podwórze i obszerny, wcale dobrze utrzymany sad, a przez furtkę w parkanie z chrustu wyszliśmy na wieś.

Błoto nie pozwalało przyspieszyć kroku i trzeba było szukać wydeptanych ścieżek.

Pułkownik szedł naprzód i mruczał; ja obmyślałem, jakby się wziąć do tego zażartego pana Anzelma.

Mijaliśmy chałupy niskie, zapadłe, pokrzywione, lecz schludne i białe..

Wieś była dużą i liczną.

W powietrzu jesienna panowała cisza, cisza dni pogodnych; gęsta mgła, w Kołodziejówce, z powodu położenia mokrego podwójna, opadała już.

W pośrodku wsi stała, okazalsza od innych, z powodu większych nieco okien, chałupa.

Pułkownik się obrócił i wyrzekł:

— Kapitan tu sobie obrał kwaterę, u Wojciecha Salamandry, wolnego od pańszczyzny.

Weszliśmy przez ciasną sień do izby.

Kapitan siedział na ławie, zaczytany w gazecie, i udawał, że nas się nawet nie domyśla.

Dopiero gdy mu powiedziałem: „dzień dobry“, podniósł na nas z pod okularów oczy i zerwał się z pretenstjonalną pana domu godnością i gościnnością.

A był świętecznie ubrany, jakby nie wątpił, że weźmie udział w uroczystości obchodzonej dnia tego we dworze.

Zupełnie pasował strojem do mecenasowej i panny Petroneli.

Spodnie miał czarne, a koszula śnieżnej białości odbijała od dużej i szerokiej fularowej chusty. Kamizelka aksamitna popielata, cała była upstrzona gęstym, czerwonym, z gałązek delikatnych złożonym deseniem, a dostatecznie ją odkrywał surdut czarny, wąski, na haftki z przodu się zapinający.

Od samej góry wysokiej kamizelki, spadał gruby złoty łańcuch od zegarka, a na piersiach błyszczał order „virtuti militari“ z czarno-niebieską wstążką.

Pan Anzelm przywitał mnie bardzo zimno, czy z godnością—i wskazał ławę.

— Czem chata bogata, tem rada—dodał.

Zapanowało milczenie; pułkownik już ładował krótki cybuch, który od wypadku ze sobą nosił, ja obserwowałem wygoloną twarz pana Anzelma z malutkim, na krańcach górnej wargi pozostawionym tylko wąsikiem.

Wobec bardzo starannej dnia tego toalety, twarz pana Anzelma na typowości zyskiwała.

Sam zaś, wyświeżony i wystrojony, dość zabawne robił wrażenie w chałupie.

— Przyszliśmy po kochanego kapitana! — zawołałem wreszcie.

Kapitan bystym wzrokiem patrzył po mnie i pułkowniku.

— Umieć ocenić — odparł — honor i zaszczyt, jaki mi hrabia dobrodziej robisz, odwiedzając mą istnie wojskową kwaterę.

Kapitan wstał i oddając głęboki ukłon, podał mi rękę.

— Najprzód jednak muszę — ciągnął dalej — dokończyć rekomendacyi, której mi wczoraj dokończyć nie pozwolił, ot, tu *praesens*, pułkownik.

— Ależ, kochany kapitanie!

— Jak honor kocham... pyk... — zaczynał już pułkownik.

— Tak... jakem żyw — przerwał pan Anzelm — nie pozwolił mi dokończyć z jejmość dobrodziejką. Otóż Godziemba etc. etc. kapitan!

— Kapitan! — powtórzył pułkownik, chrząkając i zerkając na mnie.

Pułkownik się zakrzuszył.

— Zapomniałem powiedzieć — odezwał się pułkownik — kochanemu kapitanowi, że na obiad dubelty i marcepany.

Pan Anzelm czoło marszczył tylko i milczał.

— No zbieraj się, kochany kapitanie — zawołałem — i chodźmy!

— Nie, hrabio dobrodzieju — odparł pan Anzelm — dopóki dobrodziejka nie zaakceptuje moich kondycyj *sine qua non*, nie ruszę się z mojej kwatery... Czy może hrabia dobrodziej przychodzisz z polecenia dobrodziejki? — zapytał, obracając się do mnie.

— Nie...

Pan Anzelm westchnął i wyprostował się.

— Ależ, kochany kapitanie — zacząłem — czyż można tak być zaciętym i to względem kobiety! Ciotka

moja, wymiarkowałem już, serdecznie lubi kapitana i bez niego prawie się obejść nie może... przyzwyczaiła się..

— Ba!—przerwał pan Anzelm, wstając — łatwo się przyzwyczaić do dobrego! Toż zepewne hrabiego dobrodzieja nie poinformował zazdrosny pułkownik, iż ja, jakem żyw, jestem prawą ręką dobrodziejki; iż bezemnie w jednym roku w niweczby poszła Kołodziejówka i wszystkie dostatki.

Kapitan się zapalił i dalej, to z goryczą, to z og-niem, tak mówił:

— I mnie, mnie nazywać asanem, mnie pozwolić skonfundować przy gościu i hrabi, i to... pułkownikowi!... I mnie kazać się od stołu wynosić precz z oczów, jak psu, czy chłystkowi! Mnie? mnie? nie pozwolić dopić herbaty? Mnie, co od lat trzydziestu wszystko prowadzę w Kołodziejówce, co zapisuję i korespondencję odczytuję... O! wiem, że jejmość jeszcze listów od wielmożnego hrabiego nie odczytała, bo niema asana, jakem żyw! To szlachetnie? to godnie? to tak przystoi na niewiastę wielkiego rodu i fortuny? O co? o głupstwo, o Napolutka!

— To nie głupstwo, kapitanie! — przerwał pułkownik. — Napolutek! hola, kapitanie!

Pan Anzelm znów poczekawszy, dalej mówił tonem spokojnym, przechadzając się po ciasnej izdebce.

— Ciekawym, ciekawym, kto kapitana zastąpi w Kołodziejówce? Kto rano o czwartej będzie wyganiał czeladź i pilnował złodzieja Perkowskiego?... Mo-

że pułkownik, co o siódmej w łóżku fajkę pali? Kto będzie odpisywał na korespondencye? Może pułkownik, co ma kurcz pisarski, jak tam mówi, w palcu. Kto będzie w jesieni pilnował połowu i spustów? A kto będzie brał korcami, jakem żyw, panie dobrodzieju, na węcierze karasie, ot, takie, jak głowa pułkownika? Korcami je sprzedaje dobrodziejka.

— Czyż takie duże? — spytałem, przypominając sobie niedawne opowiadanie cioci Balbiny.

— Czy takie? Takie i większe, hrabio dobrodzieju, podziw rybaków i żydów, bo ja mam tylko sekret ich chowania i łapania. A kto będzie odkładał rok w rok po kilkanaście tysięcy? Kto?

— Czyż Kołodziejówka daje tyle? — znów zapytałem, przypominając sobie obraz nędzy z opowiadania cioci.

— Czy daje? Daje i to od lat dwudziestu; za same ryby wywalają na stół w jednym dniu po ośm, po dziesięć, po dwadzieścia tysięcy, jakem żyw! A konie, do których dziesięć razy na dzień do żłobów zaglądam; a pszczoły, co sam około nich chodzę; a sady, com sam własną ręką sadił, a dziś już jabłka, jak w raj. Tak, jakem żyw, dobrodziejka rok w rok odkłada po piętnaście tysięcy i mnie, co około tego chodzę, nazywa asanem i od stołu wygania i cygara żałuje...

— Ależ, kochany kapitanie...

— Nie perswaduj mi hrabia dobrodziej — przerwał pan Anzelm — jakem żyw, tak prawda. Gdyby nie ja, toby dobrodziejka nie była w możności utrzymania tych darmożjadów, co tylko jedzą, piją, śpią...



— A! jak honor kocham!—zawołał, zrywając się pułkownik — tego już zawiele! Waćpan, panie Anzelmie, więcej jesz od nas wszystkich, jak to zresztą był wczoraj świadkiem sam hrabia dobrodziej..

— Jakem żyw...

I ja powstałem czemprowadź z ławy, by rzucić się na pułkownika, który już cybuchem wywijał i uspokoić go.

Pan Anzelm dalej mówił:

— Dobrodziejka dba o wszystkich, a mną ponie-wiera.

— Ależ...

— Pułkownikowi... a to, a owo... „panie pułkowniku“... a do mnie asan lub waćpan, lub krótko: kapitan. Zawsze po stronie pułkownika, zawsze, nie-tylko, hrabio dobrodzieju, z Napolutkiem, ale we wszystkim. Tak, tak, jakem żyw, nie ustąpię.. Niech raz się rzecz wyklaruje; ciekawym!... Dobrodziejka przyjmie kondycye? dobrze! Wrócę i dalej wiernie służyć będę. Nie? Nie; dobrze! Jutro, dziś w wieczór jeszcze, wyjeżdżam do Bębnówki... Ho! generałowej dawno wpadły w oko porządki kapitana w Kołodziejówce i ryby i sady i tysiączki dobrodziejki... Dawno na mnie czycha... Oddawna zerka i przymila się w kościele co niedziela... Niech będzie koniec!

Pan Anzelm wstał, ja czekałem aż ochłonie, zupełnie się wygadawszy; tymczasem pułkownik zaczął chrząkać i przechadzać się po izdebce.

Wreszcie przystąpił do kapitana, wyciągnął do

niego obie ręce, w jednej trzymając cybuch między palcami i tonem błagalnym tak przemówił:

— Zastanów się kochany panie Anzelmie! To nas, jak honor kocham, pogubisz! Zastanów się! Któż będzie fabrykował te nalewki? kto upilnuje tego Perkowskiego? Rozkradną wszystko do szczętu! Z kimże będę dysputować w długie zimowe wieczory przy kominie, o polityce i rzeczach światowych? Jak honor kocham, kapitanie, któż do miasta będzie jeździć za sprawunkami? Kto tak dobierze suchych cygar i aromatycznych tytoniów? Kto pannie Petroneli dogodzi z tą włóczęką?

— Daj mi waćpan pokój z Petronelą — ofuknął pan Anzelm.

Powstrzymując śmiech, czempredziej odezwałem się:

— Kapitanie! Pułkownik ma rację. Jakkolwiek krótko, bo dopiero od wczoraj jestem w Kołodziejówce, miałem sposobność wymiarkować, że oni wszyscy bez ciebie się nie obejdą. Niechże pułkownik powie, jak dziś we dworze smutno; wszyscy chodzą jak struci, i oczekują tylko twojego powrotu, kapitanie.

Pan Anzelm wyciągnął do mnie obie ręce i serdecznie je ściskając, ze łzami prawie odparł:

— Dziękuję... dziękuję... hrabiemu dobrodziejowi!

Bardzo rozczulony, choć nie wiedziałem czem, zaczął chodzić po izbie. Lewą rękę założył za kamiczkę, prawą szarpał koniec wąsa i głęboko zamysłony, walczył sam z sobą.

Widocznie miał ochotę znaleźć się czempredziej

w swem odwiecznym towarzystwie, ale z drugiej strony postanowił wyzyskać okoliczności.

Widząc, iż kapitan był czułym na przemówienie moje, dalej w tym sensie i tymże tonem mówiłem:

— Oni bez ciebie kapitanie, do roku wszyscy ponikną, przepadną... rady sobie nie dadzą! A moją biedną ciotkę, słabą kobietą i starą...

— Dobrodziejka słaba?—przerwał mi pułkownik z miną zdziwioną — pięknie słaba...

— Nie przerywaj mi, panie pułkowniku — ostro prawie odparłem i dalej, zmieniawszy ton, kontynuowałem: — Rozszarpią, rozkradną! rozbiorą całą Kołodziejówkę, bo jakże sobie dadzą radę same kobiety?... Nie wyobrażam sobie Kołodziejówki bez kapitana! Tam co chwila, co minuta, każdy czuje brak jego. Co do kogo przemówiłem, to mi odpowiadał: „gdyby kapitan był“, „jak kapitan wróci“. Kapitan i kapitan!

— I dobrodziejka także?—zapytał kapitan, przystając i spoglądając mi w oczy swem zażawionem z pod okularów spojrzeniem.

— A jakże! — odparłem — szczególnie ciotka!..

Kapitan uwolnił mnie od dalszej improwizacji, bo rozczulony uchwycił moje obie ręce i nerwowo je ściskając i trzęsąc, tonem rozplakany prawie, wołał:

— Dziękuję ci... dziękuję, hrabio dobrodziejn!

Uradowany powodzeniem, szczęśliwy zem trafił w słabą stronę poczciwego pana Anzelma, chciałem kilkoma słowami uwieńczyć me dzieło pojednania, gdy

najniefortunniej popsuł mi wszystko pułkownik, który także rozczulony zagadnął:

— I jak honor kocham, sam kapitan-byś bez nas żyć nie mógł. Nie mógłbyś się obejść i bez gderań do-brodziejki i bez mecenasowej i bez połowu ryb i bez przycinków panny Petroneli i bez...

Nie dokończył, bo pan Anzelm, którego fizyogno-mia od początku przemówienia pułkownika, traciła swój rozczulony wyraz, nagle wybuchnął:

— Co pułkownik pleciesz? Cobym się obejść nie mógł? Jakem żyw, tak się obejde... jakem żyw... tak... tak... ani od jednego punktu moich warunków *sine qua non* nie odstąpię.

To powiedziawszy, zaczął biegać po izbie, a śla-dów rozczulenia na twarzy jego już nie było.

Godzina pierwsza dochodziła na zegarku pułko-wnika; opuściliśmy też i kapitana, napróżno jeszcze obsypując go prośbami i komplementami.

Odprowadził mnie aż do furtki ogródka i co kilka kroków kłaniał się nisko i głęboko, dziękując za wi-zytę.

Na błotnistym gościńcu pan Anzelm oddał mi ostatni ukłon, najgłębszy — i uchylając czapki, dodał:

— Nigdy nie zapomnę honoru, jaki mnie spotkał w mej iście wojennej kwaterze...

Gdyśmy się oddalili, mimowolnie się obróciłem: kapitan stał jeszcze i tęsknym wzrokiem nas odprowa-dzał i zapewne z bólem spoglądał na buchające dymem kominy we dworze kołodziejowieckim.

— Jaki zażarty! — odezwał się pułkownik. — A jak honor kocham, myślałem że go dubelty przekonają! To żelaznej woli człowiek! Proszę... nie będzie już jeść ani szczupaka, ani marcepanów... Dobrze mu... pochował tytonie... a smakosz! Jak on tam wytrzyma.

Te kwasy u mej ciotki Balbiny zaczynały mnie nudzić i chciałem przynajmniej jakąś przyjemną zostawić pamiątkę jej rezydentom, a przyjemniejszego nie widziałem, nad powrót pana Anzelma.

Przemyślałem nad sposobem zdecydowania ciotki do przyjęcia fikcyjnych warunków kapitana, a pułkownik wciąż mruczał i desperował, że kapitan nie będzie na obiedzie.

Gdyśmy weszli do sali jadalnej, wszystko stało do obiadu przygotowane i Grześ oznajmił, że jaśnie pani jest w bawialni.

Salon ten leżał obok pokoju jadalnego; tamęśmy poszli.

— Chodźcie... niewiedzieć co! — odezwała się ciotka, wstając z miejsca i podając mi rękę — a waza na stole!

Ja z ciotką w pierwszej parze, a w drugiej pułkownik z panną Petronelą, poszliśmy do jadalni i zajęli swoje miejsca.

Miejsce kapitana, choć opróżnione, było nakryte.

Dopiero usiadłszy, zauważyłem, że damy zmieniły toalety, a pułkownik miał czas włożyć długie, z haftkami surdut.

Ciocia Balbina przywdziała suknię szkocką, a na

szyi jej błyszczał w kilkakroć związany, złoty gruby łańcuch z krzyżem staroświeckim, z brylantów i amethystów.

Zawstydzony, tłumaczyłem się z mojego rannego kostyumu.

Ciocia, zadowolniona zresztą z moich ceremonii, dla formy odparła:

— Niewiedzieć co! bratanek się ekskuzuje! To nam się stroić do niego, syna IMÉ hrabiego dobrodzieja, brata rodzoneńskiego.

Obiad się zaczął i trwał bez końca, a że był dobry i z wykwinnych złożony potraw, wszyscyśmy byli w pysznych humorach.

Pułkownik bardzo był rozmowny, choć mało go słuchały starsuszki, z wielkim zajadając apetytem.

Pani kasztelanica odpowiednio do uroczystości była uprzejmą; nawet zachęciła kilka razy, to pannę Petronelę, to panią Duclos, do powtórzenia potrawy.

Grześ hojnie rozlewał wino i pytał każdego pompatycznie: „białe, czy czerwone“—dzierżąc w rękach butelki.

Szło wszystko przewybornie i nad wszelkie moje spodziewanie, brak kapitana nie dawał się uczuć.

W miarę jak się zbliżało pieczyście, humory się poprawiały, bo wino oddziaływało na ogólne usposobienie biesiadników.

Ciocia Balbina, choć się jej twarz wyciągała, ile razy zobaczyła próżne miejsce kapitana, była rozmowną i jakby sztucznie wesołą.

Nagle usłyszałem przeciągłe, z ust wszystkich rezydentek równocześnie się wydobywające:

— Aaa!... aaa!...

Obejrzałem się zdziwiony. Grześ z tryumfem i miną dziwną, stawiał przed ciotką butelkę omszałą węgrzyna.

Na butelce stała białym kolorem wypisana cyfra: 1812.

Widzę jeszcze tę butelkę, ten napis i słyszę „Aaaa!“ rezydentów.

Ciotka spojrzała na butelkę i podrażniona, trzęsąc głową, zawołała:

— Kapitan jesteś do niczego!... Kazałam asanowi przynieść butelkę z roku 1811 lub 13-go! Asan mi chciałeś zrobić na złość... Rok ten mi jest niemiły!.. w roku 1812 Napolutek...

Ciotka urwała i zaczerwieniła się, a milczenie było odpowiedzią. Asana nie było, by się wytłómaczył. Olimpia tylko, która go widocznie zastępowała, coś czerwieniąc się, mruzczała.

Zapomnienie ciotki sparaliżowało humory, a co najgorsza, przypomniało jej samej nieobecność kapitana.

Wyglądała bardzo zła z pomyłki, lecz starając się ukryć niezadowolnienie, nalewała w małe kieliszki wino, które podawała wszystkim.

Podawała i mnie kieliszek, mówiąc:

— Maślacz, niewiedzieć co!... Po dobrodzieju...  
Ś. p. generał mówił, że będzie wyborny. Pijemy naj-

przód za zdrowie JMć hrabiego dobrodzieja, brata mego rodzoneńskiego!...

Ciotka trąciła o mój kieliszek.

Rezydentki wszystkie powstały.

Powstałem i ja, całując w rękę ciotkę Balbinę.

Grześ obnosił piramidę dubeltów i bekasów.

Pułkownik, który dobrze sobie dolewał w ciągu obiadu, nagle zawołał, wpatrując się w próżne miejsce pana Anzelma:

— Kapitanie! jak honor kocham, nie mówiłem, że rok 1812 lepszy od 1807, cośmy pili...

Nie dokończył, bo ciotka mu przerwała:

— Waćpan... niewiedzieć co!...

Wino jednak miało swoje prawa, bo i ciotce gderanie przerwał generalny śmiech, któremu Grześ z Mikołajkiem nawet dopomagali.

Ciotka się uśmiechnęła i machnąwszy ręką, szepnęła:

— Niewiedzieć co!..

Za nią stojący Grześ, widocznie także podchmielony, machnął ręką i szepnął:

— Niewiedzieć co!..

Nie wszyscy widzieli Grzesia, któremu się to zimitowanie ciotki Balbiny wyrwało, lecz ci co go widzieli, wpadli w wesołość niepomiarowaną.

Ciotka trzęsła głową i nie rozumiała, bo i Grzesia nie dosłyszała.

Pułkownik nic nie uważający, ani nie widzący, powstał i donośnym głosem zawołał:



— Zdrowie jasnie wielmożnej kasztelanicy, kołodziejowieckich dóbr dziedziczki, naszej pani i dobrodziejki!

Wszyscy z łoskotem krzeseł powstali i przystąpili do ucałowania ręki ciotki, która tylko uchyliła ją pannie Petroneli i w czoło ją pocałowała.

Potem kazała sobie podać dwa kieliszki i napełniwszy je zwyczajnem winem, poczęstowała Grzesia i Mikołajka.

Obaj do nóg ciotce się kłaniali i zdrowie jej pili, a Grześ przy tej okazji palnął nawet krótką przemowę.

Mimo ogólnego ożywienia, ciotka coraz bardziej smutniała.

A gdyśmy wstali od stołu i przeszli do bawialni, zauważyłem nadzwyczajną zmianę w twarzy ciotki i domyśliłem się, że przyczyną jej nie kto inny, tylko kapitan.

Humor ciotki był niejako termometrem ogólnego usposobienia; całe towarzystwo zerkało na nią i do niej się stosowało.

Jeden pułkownik nie stracił rezonu, chodził już po salonie i mruzczał:

— A heretyk, jak honor kocham, pochował te hawańskie cygara.

Zbliżyłem się do ciotki i zapytałem:

— Gdyby mi ciocia kazała zaprządz do koczyka, tobym się przejechał... i przywiózł pana Anzelma—dałem ciszej.

Ciotka potrząsała głową i w odpowiedzi zawołała do pułkownika:

— Każ waćpan zaprządz do zielonego pojazdu... Hrabia dobrodziej, syn JMé pana hrabiego, brata mego rodzoneńskiego, chce użyć spaceru!

— Do zielonego pojazdu! Chryste Jezu! jak honor kocham!—zawołał pułkownik i wybiegł z salonu.

W towarzystwie zapanował zamęt i szeptanie.

Pani Duclos mnie objaśniła, że zielony pojazd stał daleko wyżej od żółtego kocza, a mecenasowa dodała, że tylko od wielkich uroczystości wychodzi z wozowni.

Pułkownik powróciwszy dodał, że zielony pojazd sprawiony był za siedm tysięcy w Warszawie, a wybierał go jeszcze ś. p. generał.

Panna Petronela zaś szepnęła mi na ucho, że pojazd ten był powodem gniewu dobrodziejki z generałową, która nigdy jej przebaczyć nie mogła, ani ścierpieć widoku kasztelanicy w tym ekwipażu.

Tymczasem Grześ wszedł i zawołał z namaszczaniem głosem tubalnym:

— Zielona landara przed gankiem!

— Landara... niewiedzieć co! — szepnęła ciocia i powstała z kanapy.

Ruszyli się i wszyscy, by mnie wyprowadzić na ganek.

— Pozwoli mi ciocia wziąć i pułkownika, boby mnie nikt nie umiał objaśnić...

— Niewiedzieć co bratanek wyprawia! — uśmie-

chnęła się pani Balbina, a odwracając się do pułkownika, dodała:— Waćpan mi tylko nie odgnieć aksamitu!

Byliśmy na ganku.

Gniade klacze grzebały w ziemi, a spasioone były jak wieprze.

Ciotka jeszcze mnie odwołała i bardzo zażenowana, cicho rzekła:

— Tylko mnie hrabia dobrodziej nie kompromituj przed całą wsią... niewiedzieć co... gdybyś... niewiedzieć co... to zmierzchem... śmieliby się chłopci... niewiedzieć co...

Zrozumiałem, o co ciotce chodziło i wskoczyłem do zielonego pojazdu.

— Gdzie jaśnie pan każe?—zapytał furman.

— Kościół obejrzę — odparłem, zwracając się do pułkownika.

— Do kościoła!—huknął pułkownik i ruszyliśmy z miejsca.

Już się zmierzchało, gdyśmy z powrotem z kościoła zatrzymali się przed chałupą Salamandry.

— Kapitanie! — zawołałem, wchodząc do izby—warunki przyjęte!...

— *Sine qua non*...

— Przyjechałem nie żółtym koczem, lecz zielonym pojazdem!

— Czyż być może? Ha, ha, ha!—zaśmiał się, jak dziecko, pan Anzelm — czyż być może? — powtórzył i wybiegł, by sprawdzić.

Niebawem powrócił rozpromieniony; to się śmiał, to mnie ścisnął, to ścisnął pułkownika.

— Zielonym pojazdem!... — szeptał, nie będąc już panem swej radości — zielonym pojazdem! przez wieś... wszyscy będą widzieć! Ha, ha, ha! Co ksiądz powie?... Spieszmy się, hrabio dobrodzieju... Aj, dla Boga! gotowo się zmierzchnąć!... Zielonym pojazdem! Ha, ha, ha!...

Tak szeptając, bezprzytomny prawie, zbierał manatki i ładował w mały kufeczek; a spieszył się tak, iż co chwila zamykał kuferek, czegoś zapomniawszy schować.

— Spieszmy się, spieszmy!... bo się zaciemni, jakem żyw!—wołał, wybiegając z chałupy.

Dopiero usiadłszy w powozie, oprzytomniał. Że zaś nie było mowy, by pułkownikowi ustąpił miejsca, obu ich posadził na głównem siedzeniu, a sam usiadł na przodzie.

Pułkownik zażenowany prawie, zagłębił się w siedzeniu, a kapitań przeciwie, prostował jak mógł swą małą figurkę i na wszystkie strony obracał się, by widzieć, czy cała wieś patrzy, co się dzieje?

Jeszcze o tyle był nieprzytomny, że myśli swe głośno wymrukiwał:

— Ze dworu posłano... hrabiego... jaśnie wielmożnego... zielonym pojazdem... po kapitana, jakem żyw!

W miarę jednak, jakeśmy się zbliżali do dworu, mina kapitana robiła się coraz rzadszą i znikał tryumfujący wyraz twarzy.

Obrócił się jeszcze nieznacznie do pułkownika i zapytał cicho, jakby rachował że go nie dosłyszę wśród turkotu pojazdu:

— Obiad był suty? zostało co na półmiskach? bekas, czy marcypan?

Pułkownik potwierdzająco głową skinął.

Kapitan głośniejszym głosem pytał:

— A dobrodziejka zapewne włożyła szkocką robę?

Pułkownik znów głową potwierdził.

— Bardzo piękna robota!— wtrąciłem.

— A wierzę! jakem żyw!— odparł pan Anzelm.— Kosztowała też sporo grosza. Sprawiała ją dobrodziejka na złość generałowej, a kosztowała pięć tysięcy. Samem jeździł do Warszawy i płacił na stół, jakem żyw! Hm! niema co mówić, wolno dobrodziejce, bogata jejmość! Kołodziejówka, choć się śmieją, że:

„Woda huczy, młyn miele,  
A chleba niewiele“—

Kołodziejówka dobra, jakem żyw! Sto włók! zagospodarowane w porządkach, w rachunku, bo przecież ze trzydzieści lat, jak tu gospodaruję, hm., sam!... jakem żyw!

Zajechaliśmy przed dwór.

W jednym oknie ujrzałem twarze trzech starszek, w drugim mej ciotki.

Kapitana musiałem wysadzać z pojazdu, bo drżał na całym cielem.

W przedpokoju zagadnałem :

— A więc kapitan zadowolniony? Kondycye „sine qua non“...

— Dajże spokój hrabia dobrodziej—odparł cicho i wystraszenie pan Anzelm — sza... Co za kondycye? komu się śniło? Kazała dobrodziejka wynosić się precz... to się wyniosłem; przysłała, to wracam.

Weszliśmy do sali jadalnej.

W progu salonu, gdy przyszła kolej po pułkowniku na kapitana do przejścia, pan Anzelm odmówił.

Musiałem go siłą wepchnąć, a pokorny był jak dziecko.

Ciotka Balbina powstała i zawoła do mnie wesoło :

— Figlarz z brabiego dobrodzieja... niewiedzieć co... figlarz! jak ojciec, brat mój rodzonejki i hrabia dobrodziej.

Kapitan tulił się do mnie.

— A i kapitan! — zawołała ciotka niby zdziwiona.— Proszę!... kapitan!... niewiedzieć co... Asan mnie skompromitowałaś!

Kolory uderzyły na pana Anzelma; sięgnął do ręki ciotki Balbiny, która dalej mówiła :

— Asan... komedye wyprawiasz... niewiedzieć co!

Tymczasem pan Anzelm dwa razy i głośno emoknęła w rękę ciotkę, która już zmienionym tonem kończyła :

— Kapitan wstydzilby się! Gdyby to jaki.. niewiedzieć co, ale kapitan!

— Scylla przebyta, pomyślałem — i usiadłem na fotelu z kolosalną poręczą, obitym perkalem w niebieskie tulipany.

Za chwilę pan Anzelm był jakby nic nie zaszło; przyniósł cygara i tytoń i nakręcił zegar, stojący w kącie pod kloszem.

Wnet dała się słyszeć muzyka.

Zegar wygrywał dźwięcznym tonem polkę, modną w dawnych latach.

Ciotka promieniała zadowoleniem i zaczęła:

— Po śmierci ś. p. dobrodzieja bardzo zaniemożałam. Jakiś *males* tak mnie opanował, iż doktorzy wysłali mnie do Karlsbadu. Pojechałam żółtym koczem z Maciejem i Olimpią... na Warszawę, Kraków (ale i wtedy nie widziałam JMć hrabiego dobrodzieja, bo był w Paryżu), Wiedeń i już nie pamiętam, niewiedzieć co... Wraciałam z Karlsbadu, Maciej skręcał czwórka bułanów, jaką jeszcze miałam po dobrodzieju... pamiętasz kapitan? gdy na rogu dwóch ulic...

— Gdzie ciociu? — przerwałem.

— W Wiedniu, w Wiedniu! — ciągnęła ciotka — woła mi jakiś głos znajomy: „Maciej! stój! stój!“ Maciej stanął, wychyliłam głowę, a tu Sewerek wyelegantowany; włosy w puklach, kołnierzyk à la Bajron. Sewerek! Balbisia! Ogromnie się uradował nicpotem! niewiedzieć co! Spędziliśmy razem kilka dni i on to mnie, nicpotem, namówił na ten luksus! niewiedzieć co...

Wtem Grześ, otwierając drzwi od sali jadalnej, przerwał, wołając:

— Kawa!

Wszyscy powstali, jak młodziki.

Zaciekawiony opowiadaniem cioci, przysunąłem się do pana Anzelma i zagadnąłem:

— Ciotka nie dokończyła?

Kapitan zrobił minę bardzo seryo i odparł, wskazując w kąt salonu:

— Wtedy dobrodziejka, namówiona przez tego „nicpotem...”

Chrząknął i dokończył:

— Pana Sewera, kupiła ten zegar z muzyką.

Pułkownik przybliżył się do mnie z drugiej strony i zagadnął:

— Czy uważasz hrabia dobrodziej, jak pani kasztelanica *excellantissime* opowiada?

— A uważam... uważam!

I znów zasiedliśmy przy stole, przykrytym łakociami, tortami, konfiturami, gruszkami w miodzie, cukrami, ciastami.

Dwa kandelabry trójramienne z epoki pierwszego cesarstwa, przyświecały na stole.

— Co za wystawa, jak honor kocham!—mruknął pułkownik.

Ciotka była tak ożywioną, iż pod oczami jej wystąpiły dwa czerwone wypieki.

Nie dokończyła historii o Sewerku i zegarze, lecz zaczęła zaraz przy kawie drugą historię.



Jak wszyscy, tak i ja słuhałem z uwagą; kapitan tylko od czasu do czasu bardzo cicho chrząkał.

Ciotka mówiła.

— Jeszcze wtedy nie wiedziałam, że jest jaka Kołodziejówka na świecie. Z pod Krakowa, gdzie dobrodzieje mieli dobra, nie tak jak Kołodziejówka... niewiedzieć co!... dobra! pańskie dobra!... gdyśmy raz się wybrali do starościca dźwinogrodzkiego, hen... gdzieś za Lwów... niewiedzieć co, pamiętasz Petrysiu?

Panna Petronęła skinęła głową i wyprostowała się.

— Otóż—ciągnęła dalej ciotka — syn starościca, hrabia Pantaleon, zakochał się we mnie furyoźnie, bo też było w czym! Smukła, wysoka, włosy blond po kolana, oczy, jak... niewiedzieć co! figura... ot! pokażę hrabiemu dobrodziejowi miniaturę z tych czasów, którą mam w kantorku... Jak mówię, Pantaleon zakochał się furyoźnie. Pamiętasz, Petrysiu, jak szalał i adorował?... Było w czym, niewiedzieć co! Otóż raz...

Kapitan po raz dziesiąty chrząknął, popijając bardzo wolno kawę.

Ciotka spojrzała w jego stronę i czemprowadzej zawołała:

— Olimpeczko! zakochałaś się w hrabi dobrodzieju! niewiedzieć co! Wszak zostawiłam dla kapitana od obiadu... zostawiłam dwa bekasy, dubeltów trzy i pięć marcepanów. Grzesiu, podaj!

Kapitan skłonił się głową; podano mu owe pozostawione części obiadu i zaraz się wziął do nich z podwój-

nym apetytem, ale ciotka Balbina więcej do opowiadania swego nie powróciła.

— Cóż dalej chciała nam ciotka opowiedzieć? — zapytałem, nachylając się do pułkownika.

— Nie wiem, jak honor kocham, bo pierwszy raz słyszę—odparł pułkownik.

Po kawie nastąpił maryasz, do którego zasiadła ciotka, pułkownik, pan Anzelm i mecenasowa.

Ja przysunąłem się do panny Petroneli i zagadnąłem:

— Wytlómacz mi pani, dlaczego pułkownik kwestyonuje kapitaństwo pana Anzelma?

Panna Petronela głęboko się zamyśliła.

— Wie hrabia dobrodziej, że nie umiem go poinformować — odezwała się po dobrym namyśle; — coś w tem być musi, ale co... dalibóg nie wiem. Ja dopiero w Kołodziejówce przebywam od niedawna...

— Od paru lat?—przerwałem.

— O! od lat dwudziestu, od śmierci starościca dzwiniogrodzkiego.

— Pięknie od niedawna!—pomyślałem.

Panna Petronela cedziła dalej:

— Przybywszy do kuzynki dobrodziejki, zastałam już tę kwestyę sporną. Pułkownik kapitana tytułuje, lecz mu nie pozwala się tytułować. Zresztą, któżby tam dochodził?... Nigdy się nie zastanawiałam!

Gwarzyliśmy o tem i owem i nie mogłem się niczego dowiedzieć, gdyż z każdej rzeczy panna Petro-

nela skręcała na czasy starościca dzwinogrodzkiego i syna jego, hrabiego Pantaleona.

Właśnie opowiadała powoli, dobitnie i cedząc każdy wyraz, jak mój ojciec w roku 1823 zjechał do starościca, gdy Grześ oznajmił kolację.

Przy kolacyi, omało że nie przyszło do „herezyi“, jak się wyrażała ciocia.

Kapitan bowiem zabrał głos już przy herbacie i oznajmił, że za pozwoleniem kasztelanicy dobrodziejki opowie bardzo ciekawe zdarzenie, jakie mu się przytrafiło przed laty, gdy go generał Skrzynecki wysłał do Warszawy.

Opowiadanie szło dobrze, a nawet słuchaliśmy go z pewnem zajęciem.

W samym środku tych zdarzeń był już pan Anzelm, gdy opowiadał, jak generał Skrzynecki go raz zagadnął.

Mówiąc, nagle urwał i spąsowiał, oczy w ślup wytrzeszczając.

— Hola! panie Anzelmie! — zahuczał pułkownik, wstając i prostując się, jak drut — hola!...

Ale i pułkownik urwał, bo ciotka wstała i syknęła tylko:

— Waćpan jesteś źle edukowany! Waćpan powinienś milczeć, gdy kapitan opowiada historyczny wydarzenie... niewiedzieć co!

— Ależ dobrodziejko!...

— Kasztelanicy dobrodziejko! — przerwała

ciotka, uderzając ręką w stół. — Waćpan się zapomniał!

Pułkownik, który przed chwilą był w pasyi, usiadł i tylko pospiesznie zaczął z cybucha pykać.

Ale pan Anzelm już nie dokończył opowiadania, tylko z pod okularów piorunujące na pułkownika rzucał wejrzenia.

Na tem skończył się ten uroczysty dzień w Kołodziejówce.

Życząc dobrej nocy ciotce, oświadczyłem jej moje postanowienie opuszczenia nazajutrz jej gościnnych progów.

W odpowiedzi na to ciotka odwróciła się do pana Anzelma:

— Kapitanie! proszę do mego gabinetu; dziś jeszcze załatwię korespondencyę i respons dam JWP. hrabiemu, bratu memu rodzoneńkiemu.

Nazajutrz rano udałem się do gabinetu ciotki, wezwany przez nią.

Siedziała przy biurku i tak zaczęła:

— Hrabia dobrodziej pisze, bym w tych niebezpiecznych czasach opuściła Kołodziejówkę i udała się do Krakowa... niewiedzieć co... z kapitanem i pułkownikiem?... Pisze dalej, bym w domu nie trzymała gotowizny... niewiedzieć co... Niema grosza, bo zkadże?... z Kołodziejówki? Toćby zjedli dwie; nie jedzą ci? niewiedzieć co... Gospodarka nie popłaca... a kapitan o nic nie dba, byle zjadł... Powiedz bratanek hrabiemu dobrodziejowi, że od śmierci dobrodzieja zapom-

niałam, jak złoto świeci i gdzieś w kantorku może się jeszcze błąka jaki dukat, niewiedzieć co... Bardzo dziękuję za pamięć bratu memu najdroższemu... bardzo... lecz już i te ciężkie czasy przebędę w tych błotach... Mówią niewiedzieć co, lecz ja i kapitan myślimy, że w tych błotach zupełna jest *securitas*...

Ciotka urwała i wręczyła mi list w grubej koperocie do mego ojca, dodając:

— Własną ręką napisałam... Mój Boże!... trzydzieści lat, jak nie widziałam hrabiego dobrodzieja...

Wstała i poszła do kantorka, stojącego w kącie gabinetu, w którym dość długo czegoś szukała.

Powróciła i stanęła nademną, wręczając mi niesmiało sakiewkę z niebieskich paciorków, między którymi zabłysło złoto i rzekła:

— Przyjm hrabia dobrodziej ten podarek... niewiedzieć co... To sakiewka po dobrodzieju, ja robiłam ją sama... byś nie zapomniał o Kołodziejówce... Będzie na osłodzenie podróży... na karmelki, niewiedzieć co...

Zażenowany, wsunąłem w kieszeń staroświecki woreczek, którego waga jednak mnie zadziwiła i ucałowałem ręce cioci.

Ciotka rozczulona, jak mi się zdawało, odprowadziła mnie do czekającej już bryczki.

Na ganku znajdowali się wszyscy.

Żegnali mnie tak czule, jak gdybym z nimi zjadł beczkę soli.

— Dziękuję, bardzo dziękuję... za wczorajszy postępek i potrafię się odwdziżyć... jakem żywo... słowo kapitański!—rzekł pan Anzelm.

A miał przytem tak dwuznaczną i tajemniczą minę, żem zachodził długo w głowę, coby chciał być wyrazić?

Dowiedziałem się, ale w lat dziewięć później.

Mój ojciec już nie żył,

Konsulat austriacki w Warszawie doniósł mi, iż w dobrach swych Kołodziejówka umarła ś. p. Balbina z hrabiów Łosiów \*<sup>\*</sup>\* — zapisując mi cały ruchomy i nieruchomy majątek.

Podążyłem czempredzej w Augustowskie, by uratować choć cokolwiek z przypuszczalnej grabieży rezydentów.

Jakież było moje zdziwienie, gdym ich zastał prawie w komplecie, bo brakowało tylko panny Petroneli — która poprzedziła swoją dobrodziejkę — w największym pogrążonych smutku.

Pan Anzelm pokazał mi, zaledwem zeszedł z bryczki, oryginalny testament ciotki Balbiny.

A był on napisany jego ręką, podpisany tylko przez świadków i ciotkę.

Poczem przyniósł mi wszystkie klucze, zwracając moją uwagę na jeden mały i niepozorny, i zerkając z pod niebieskich okularów.

— Od czegoż ten? — zapytałem — bo te, to zapewne od śpichrza i magazynów.

— Ten — odparł pan Anzelm spokojnie — to od kantorka, który stoi w moim pokoju i w którym dobrodziejka zostawiła sześćkroć sto tysięcy.

Oślupiały słucałem, a pan Anzelm dalej mówił:

— Pozwoliłem sobie wyprawić dobrodziejce odpowiedni i suty pogrzeb, który kosztował sporo, bo do sześciu tysięcy, jakem żywi! Reszta leży nietknięta i coś jeszcze się znajdzie w gospodarskiej kasie.

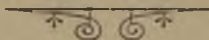
Zabrawszy pieniądze, opuściłem Kołodziejówkę.

Powoli wymierali w niej rezydenci.

Wreszcie umarł i pan Anzelm, zostawiając tylko panią Duclos i Olimpkę.

Serdecznie zapłakałem na jego mogile, leżącej na cmentarzu, tuż obok grobowca ś. p. kasztelanictwa, wśród brzoź płaczących i popróchniałych krzyżów.

A Kołodziejówkę sprzedałem, bo następcą pana Anzelma, młody i energiczny agronom, chciał mnie z niej w krótkich abcugach wykwitować.







# BEZIK PANNY RAPALSKIEJ.

---



## I.

**J**ednym z *quasi* rezydentów i wiecznych partnerów bezikowych mojej drugiej ciotki, która mieszkała w Krakowie, był między innymi i tak zwany „baron“.

Czy był baronem, czy nie, nikt nie dochodził.

Nazywał się „von Culner“, liczył lat pięćdziesiąt, miał liczną rodzinę w kraju naszym, liczniejszą za granicą i żył spokojnie i wygodnie z renty, którą mu rodzina wypłacała.

Tak sam o sobie twierdził.

Baron miał na imię Józef; rodzina, jak znów twierdził, nazywała go Józefim, a partnerzy bezikowi mej ciotki, zdrabiając pieśczośliwie, zwali go „baronem Fifi“.

Że zaś ze dwadzieścia lat przeważnie żył w tem kółku bezikowem, znano go w całym Krakowie pod nazwiskiem „barona Fifi“.

Średniego wzrostu, chudy na twarzy, z dużym niemieckim nosem, z ogolonym wąsem a rzadkimi faworytami, miał w swych rysach dużo typu.

Włosy jego były blond i gdzie niegdzie tylko przeglądały srebrne nitki.

Duża łysina świeciła nad czołem i odbijała przy żywych jeszcze i siwych oczach.

Chód miał prędko, jakby się gdzieś zawsze spieszył, choć rzeczywiście nigdzie mu nigdy pilno nie było.

A gadułą był niepospolitym; często przychodził na bezika pierwszy, i czekając aż wszyscy się zeszli, rozповідаł mojej ciotce niestworzone rzeczy: o sukcesach swej młodości, o bogactwach swej rodziny i swoich, o arystokratycznych swych stosunkach i przeróżnych rzeczach.

— Bredzisz baron! — odpowiadała ciotka, gdy już na schodach słyszała kroki nadchodzących partnerów i przyjaciół.

Ciekawa to i tajemnicza była osobistość. Lata już, jak siedział w Krakowie, a nikt nie mógł dociec jego osobistych stosunków.

Zajmował dość obszerne i z komfortem urządzone, a nawet w dzieła sztuki przybrane mieszkanie, a z drugiej strony, ubrania jego były bardzo wyszarżane i staromodne.

Partnerzy mojej ciotki: pan sędzia, pułkownik i konsyliarz, radzili nieraz, gdy się bez barona zeszli, nad nadzwyczajnością faktu, że w pugilaresie barona nigdy więcej nie było nad siedm lub ośm guldenów.

Czasem z tej sakramentalnej kwoty przegrał trzy, lub dwa—została więc tylko piątka.

Jakież wszystkich było zdziwienie, gdy na drugi dzień baron, by schować wygranego guldena, wyjmował pugilares, w którym prócz piątki niebieskiej lśniły dwa reńskowe papierki.

Na trzy gorące letnie miesiące wyjeżdżał, ale nikt nigdy nie wiedział dokąd.

Bo ciotce mej mówił, że jedzie do Berlina; pułkownikowi fanfaronował, że do wód dla zdrowia; a konsyliarzowi w sekrecie powiedział, że po spadku do Szwecyi.

Bo jakieś rodzinne stosunki wiązały go i ze Szwecyą.

Wracał we wrześniu: zaraz pierwszego dnia zjawiał się u ciotki, i jak gdyby ich stosunki żadnej nie uległy przerwie, zaczynał od ostatnim bezikiem przerwanej konwersacyi.

I znowu, próżno ciotka z partnerami łamali sobie głowy, gdzie baron przebył lato, bo nikt prawdy dowiedzieć się nie mógł.

Wszystkim razem oznajmiał, że był u krewnych na wsi, a każdemu z osobna opowiadał co innego.

Ztąd powstawała niekończąca się nigdy przyczyzna, do rozmowy ożywionej między mą ciotką a partnerami, gdy czasem wypadkowo baron Fifi się spóźnił, lub na bezika nie przybył.

Czasem najżywszy z nich pułkownik, zaczepił barona, i wtedy wszyscy na niego napadali, a ciotka moja gorzkie mu czyniła wyrzuty, że nawet do niej nie ma zaufania.

Baron znosił wszystkie pociski i milczał, jak zaklęty.

To milczenie powiększało jeszcze rozdrażnienie starych przyjaciół i automatów. Napadali na barona, przycinali mu, krzyczeli, srożyli się i grozili, wymyślali i drwili; baron milczał i nogą tylko kiwał.

Bo w takich razach przyzwyczajeniem barona było, nogą założoną gorączkowo poruszać.

Ciotka moja zniecierpliwiona, odzywała się wtedy, udając zdenerwowanie:

— Baronie! ta noga! ta noga!

Baron się zrywał i chciał wychodzić, ale mu nie pozwalano; zatrzymywano go i proszono, i nieraz przymocą do bezika zasadzano.

Tak sobie żyli i tak się do siebie przyzwyczaili, że formalnemu nieszczęściu się równało, gdy pułkownik dostał reumatyzmu, lub baron położył się na katar.

Obaj bowiem mieli najdelikatniejsze zdrowie, choć najmłodszymi byli w tem zgromadzeniu.

Najczęściej też któryś z nich chybiał.

Wtedy przychodziła włeczorem do mej ciotki kartka, na której stało tylko: „Reumatyzm mi dokucza“, lub: „Mam katar“, albo też: „Jestem niedysponowany i nie opuszczam mieszkania“.

Ciotka rozpaczała, ale krótko, bo wnet schodziła się reszta i rozmowa niezwykle się ożywiała, dzięki nieobecności jednego z automatów, którego wtedy nie miłośniernie nicowano.

Bezik jednak prawie nigdy nie ulegał przerwie,

skoro istniał zapasowy bezikowicz, a w annalach ciotki pamiętnymi były dni, w których dwóch naraz zasłabło.

Tak zapewne byłby bezik ciotki, żadnej nie uległ, Bóg wie jak długo, zmianie dekoracyi, gdyby nie nadzwyczajny wypadek w spokojnem i niczem nie zamąconem życiu barona.

Działo się to późną jesienią; mróz skrzypiał pod nogami przechodniów na ulicach. Po jednym schodzili się bezikowicze, jak ich nazywała ciotka.

Zeszli się w komplecie, a tak wyglądali ziębnięci, że ciotka kazała wcześniej podać herbatę. Zwykle podawano ją w środku wieczoru.

W salonie, w kącie przy piecu zasiedli wszyscy. Dnia tego na mecenasa przyszła tak zwana „zapaśna kolejka<sup>4</sup>”. Usiadł on więc za stołkiem barona niby z gazetą w rękę, której jednak nie czytał, bo go więcej zajmowały karty i animusz obok siedzącej ciotki.

Okolo godziny ósmej dzwonek w przedpokoju zelektryzował wszystkich.

— Kto to być może o tej godzinie? — odezwała się ciotka, odkładając karty.

— Żeby nie jakie лихо? — wtrącił pułkownik.

Wszyscy byli zaciekawieni.

Stary służący wszedł do salonu powłócząc nogami, i wręczył baronowi list, dodając z powagą i namaszczeniem:

— Przyszedł wieczorną pocztą.

Baron wyglądał przerażony; przewracał list na wszystkie strony.

— Od kogóż?—zapytała ciotka.

— Żebym wiedział! — westchnął baron, a wyglądał zastraszony i zaciekawiony.

Przerwano bezik i zaczęto oglądać kopertę, która przychodziła z Paryża.

— Z Paryża!—jednogłośnie zawyrokowano i oddano list baronowi, który ścigał na siebie wszystkich uwagę i tą korespondencją ogromnie na razie zrobił się interesującym.

Baron tymczasem rozerwał kopertę i czytał, a wszyscy wlepili oczy w twarz jego.

Ta twarz ulegała dziwnym zmianom, bo najpierw malowało się na niej zaciekawienie, później smętne rozmarzenie, wreszcie formalne rozczenie.

Ciotka i bezikowicze umierali z ciekawości.

Baron list skończył i dwie łzy spłynęły po jego chudych policzkach.

Zaciekawienie partnerów doszło do kulminacyjnego punktu.

Oparci łokciami o stół, zapałszy oddech, z oczami wlepionymi w twarz barona Fifi, czekali.

Wreszcie mej ciotce brakło cierpliwości i przerwała rozczenie barona.

— No co? co? — zawołała.

Baron otarł łzy, utarł z wielkim hałasem nosa dużą kolorową chustką i powoli ją zwijając, mówił głosem zmienionym :

— Nie do uwierzenia, moi państwo... mój poczciwy, nieodżałowany Schippenbérge... przyjaciel... kolega... Adela!... Adela!... co to się dzieje... Mój Boże!



Baron westchnął, jeszcze raz otarł suche już oczy i z uroczyością list składał.

Ciotce było tego zawiele; z oburzeniem zawołała:

— Cóż więc? cóżeś się baron tak rozmazał? Skoro to taki sekret, po co nas było rozczulać jakimś Schip...

— Schippenbergiem! — wtrącił także zirytowany sędzia.

— I Adela! — dodał pułkownik.

— Sekreta! baron ma sekreta! — mruzczała ciotka.

— Proszę... bardzo proszę... — bąkał konsyliarz.

Baron wreszcie, widząc z miny ciotki i partnerów, że może być z nim krucho, list nazad rozwinął i jakby, do czytania się zabierał.

— No, czytaj baroniuniu! — odezwała się ciotka.

Chwilę krótką milczenia przerwał już baron, czytając:

„Kochany baronie“!...

— Któż to pisze? — przerwał sędzia, lubiący wiedzieć wszystko dokładnie.

— To Adela! — zniecierpliwził się baron.

— Adela Patti! do djabła! czy co? — wystrzelił konsyliarz.

— Jak tak, to nie będę czytał — odparł baron i list napowrót złożył.

Chwila przestrawu zapanowała, wszyscy umilkli, tylko ciotka, znając wszystkie słabe strony barona, spokojnie go zagadnęła, widząc że zwykłym sposobem nie nie poradzi; baron bowiem był niezwykle rozdrażniony.

— No, czytaj baroniuniu i podziel się smutkiem z przyjaciółmi.

Te słowa magiczny wywarły wpływ; baron list znów rozwinął i zaczął:

— Pisz do mnie hrabianka Adela Schippenberg, córka mego nieodżałowanego przyjaciela i... kolegi...

— Nie rozczulaj się baronie, — przerwał pułkownik — tylko czytaj.

Baron wreszcie czytał, udając więcej rozczulenie niż mu rzeczywiście ulegając, a wszyscy słuchali z nieopisaną uwagą.

List był tej treści:

„Kochany baronie! Piszę do ciebie, jako do jedynego przyjaciela nieodżałowanego mego ojca. Ojciec mój oddał przed dwoma tygodniami ducha Bogu, a ostatnie słowa jego przepisuję ci dosłownie, mój jedyny opiekunie...“

Tu konsyliarz się zakrztusił, jakby usiłował powstrzymać śmiech. Baron spojrział na niego z podejrzeniem, lecz zachęcony przez ciotkę bardzo zaciekawioną, dalej czytał:

— „Mój jedyny opiekunie — powtórzył baron i ciągnął płynnie i z dumą — ojciec mój w godzinie śmierci tak słabym głosem mi powiedział: „W Krakowie żyje mój jedyny i najlepszy przyjaciel, baron v. Culwer, człowiek wyższego rozumu i najlepszego serca, wykształcony i wielce obyty. Jemu polecam mój skarb, moją najdroższą córkę. Do niego ci się radzę udać w każdym ważnym wypadku życia i byłbym najszcze-

śliwszy, gdybym dziś, umierając, mógł temu niezrównanemu przyjacielowi oddać w opiekę twoje życie.“ Tu ojciec mój osłabł, spojrział w niebo, złożył jakby do modlitwy ręce, westchnął i umarł“.

— Patrzcie! — przerwał baron, pokazując list wszystkim, i duże na nim plamy z wody zmieszanej z atramentem niebieskim, -- patrzcie! płakała biedna, pisząc to i opisując śmierć przyjaciela mego!

Wszyscy uważnie rzucili okiem na dwie plamy i słuchali, bo baron dalej czytał:

„Zostałam samą! samą jedną na tym świecie i mam tylko ciebie baronie, który nie zawiedziesz zaufania, jakie mój ojciec w tobie położył. Z trudnością dowiedziałam się, że baron stale mieszka w Krakowie—i dopiero, przerzuciwszy wszystkie listy mego ś. p. ojca, znalazłam jeden krótki, temu lat piętnaście do niego adresowany. Będę oczekiwała z niecierpliwością twojej odpowiedzi, baronie; będę szczęśliwą, gdy mi doniesiesz, że przyjaźń, jaką żywiłeś dla mego ojca, na mnie przelewasz. Mam nadzieję, że zechcesz utrzymywać ze mną stałą korespondencję i przynajmniej listownie zastąpisz mi swym światłym rozumem, mego nieodżałowanego ojca. Dzisiaj, cała pod wrażeniem świeżego nieszczęścia, kończę pismo moje i proszę cię baronie, nie zapomnij o córce twego przyjaciela, która jakkolwiek cię nie zna, żywi względem ciebie uczucia serdeczne i szczerze.

Adeła hrabianka Schippenberg“.

Baron znowu się rozczulił i ocierał oczy wśród głuchego milczenia.

Wszyscy z nadzwyczajną uwagą mu się przypatrywali; wydawał im się zupełnie innym.

Ten hrabia Schippenberg, powierzający baronowi Fifi swą córkę, mieszkającą w Paryżu, uczynił go niezmiernie interesującym.

Wszyscy milczeli i rozważali.

Baron wstał i pod pozorem nadmiaru rozczulenia i emocyi, pożegnał ciotkę i przyjaciół.

Uroczyście odprowadzili go do przedpokoju, a ciotka wychodzącemu jeszcze szepnęła:

— Nie martw się baroniuniu!

Gdy tenże już wyszedł, bezikowicze nazad usiedli, ale się nie wzięli do kart.

Dumali nad baronem i tym listem z Paryża.

Pierwszy odezwał się konsyliarz.

— Tak mamy, jak na dłoni, że baron jest rzeczywiście baronem.

— Niema dowodów!—wtrącił sędzia, rozpierając się w fotelu.

— Niedowiarek z pana! — zawołała ciotka, — cóż znowu? jasne jak słońce!

— To żaden dowód, mościa dobrodziejko — sapał sędzia.

— Ta Adela, ha... słowo generalskie... — mrucał pułkownik, — ha... może to i jaka posażna i niebrzydka panna.

— I posażna! — zaśmiał się konsyliarz.

— Hrabianka, ha... ha... wszystko być może, — konkludowała ciotka; — takeście za nic mieli mego baroniunia, a patrzcie! widzicie! Który z was ma takie stosunki i przyjaźnie? gotów jeszcze... A wyście zawsze mówili, że baron fanfaronuje ze swymi hrabiami. A co? pokażcie mi, który... ja znam... słyszałam... hrabiowie Schippenberg... wielka familia... słyszałam!

— Baron Fifi opiekunem! — zaśmiał się złośliwy konsyliarz i ruszył z miejsca.

Dnia tego, nie dokończywszy bezika, opuścili partnerzy ciotkę, bo z Maryackiej wieży, jak gromy, sypały się uderzenia dziesiątej godziny.

— Baron Fifi! — mruczał każdy pod nosem, dążąc do domu.

— Baron Fifi opiekunem! — śmiał się szydersko konsyliarz, któremu to wszystko wydawało się arcyzabawnem — niech go dunder świstnie!

---

## II.

Ciotka moja liczyła wtedy lat sześćdziesiąt i była jedną z najwięcej znanych w Krakowie osobistości.

Była to stara panna, oryginalna i dziwaczna, a przytem dobra, dobroczynna i rozumna.

Ale i rozum nie mógł jej ochronić od dziwactw staropanieńskich i małomiejskich.

Bezik był jej jedyną namiętnością. To też od południa spoglądała na zegar i rachowała, ile ją godzin jeszcze dzieli od chwili, w której usłyszysz na schodach kroki pierwszego z bezikowiczów.

Resztę dnia poświęcała odwiedzaniu kościołów i znajomych.

Ztąd tak się zżyła ze swymi odwiecznymi partnerami, którzy regularni jak zegarki, codzien z nią spędzali wieczory, iż w końcu żyła nietylko swoim, lecz i wszystkich ich życiem.

Żywoty te szczęściem były monotonne i w ciasnocie zamknięte, nie zadawały też dużo pracy umysłowej ciotce.

Sędzia od lat wielu był sędzią, konsyliarz konsyliarzem, pułkownik pułkownikiem, a baron baronem.

Ewenementem tylko w życiu mej ciotki było, gdy konsyliarz zmieniał mieszkanie, lub gdy sędzia dostawał urlop, a baron wyjeżdżał na letnie miesiące.

Wchodziła też w najmniejsze drobnostki swych przyjaciół: desperowała nad piecem, który dymił u sędziego; nad kucharką konsyliarza, która znów nie chciała się nauczyć robić takiej jak u niej pieczeni wołowej — i nad pokojem pułkownika, niemającym dubeltowych okien.

Że zaś była wielką arystokratką, szczególnie opiekowała się baronem. Ten zaś, jakby na złość okrywał tajemnicą swoje bliższe stosunki i bałamucił zupełnie ciotkę fanfaronadami, które między partnerów puszczał.

Znała w najdrobniejszych szczegółach całe życie konsyliarza, sędziego i pułkownika, a nie mogła przez lat dwadzieścia, jak go znała, wybadać barona.

Był dla niej dziwną jakąś, niezrozumiałą figurą. Szczególnie też lubiła nad tem radzić z konsyliarzem, gdy się z nim bez innych znalazła.

Na drugi dzień po opisanym beziku, wróciwszy z kościoła, usiadła przy oknie na małym, umyślnie sporządzonem rusztowaniu, z którego całą ulicę widziała. To było jej ulubione miejsce. Tu siadywała godzinami, zajęta ręczną robotą, jak: ornatem do kościoła Panny Maryi, lub poduszką dla gwardyana OO. Kapucynów.

Tego dnia robota nie szła, bo co chwila zapuszczała wzrok w ulicę i szeptała coś pod nosem.

— Proszę kogo... Schippenbergi... baron opiekunem... ciekawam, co konsyliarz powie...

Tak dumiała, gdy w przedpokoju zajęczał dzwonek.

— Ktoby to mógł być?—szeptała ciotka—pewnie jaki dziad... a może Balbina...

Odłożyła okulary, poprawiła czepek i kokardy pod brodą i czekała.

Powoli, jakby zawstydzony, wsunął się baron.

— Baron!—zawołała ciotka—baron! wszelki duch Pana Boga chwali!

Baron jeszcze więcej się zażenował i całując ciotkę w rękę, bełkotał:

— Przyszedłem do dobrodziejki...

— Cóż się stało?

— Nic... nic... tak sobie przyszedłem... zasięgnąć rady...

— Rady? Jezus Maryja! cóż dla Boga?

— Cóż? cóż? nic... Adela... do licha... przecież trzeba odpisać.

Po ustach ciotki przebiegł uśmiech dużo mówiący i po namyśle odparła:

— Mój kochany baroniuniu, cóż ja ci mogę poradzić, nie znając twych stosunków. Zawsze masz przedemną sekreta.

— Co u licha dobrodziejka mówi? — przerwał rozdrażniony baron, który dnia tego miał minę bardzo godną i wyglądał przejęty jeszcze treścią wczorajszego listu—co za sekreta?

— Nigdy mi nie mówiłeś, że masz w Paryżu przyjaciela i to hrabiego Schippendorfa.

— Co za Schippendorf? co dobrodziejka przekręca?—obruszył się baron—żaden Schippendorf, tylko Schippenberg.

— Dorf czy berg to jedno baroniuniu — odparła zawstydzona ciotka, biorąc za robotę — dość, że masz przedemną sekreta; teraz radź sobie bezemnie.

— No, no, no, dobrodziejko! — zawołał baron—przecież mi nie odmówisz pomocy w tak ważnej kwestyi! Całą noc siedziałem nad odpisem i sporządziłem brulion, który chcę poddać jej światłemu rozumowi.

Tu baron wyjął z kieszeni ćwiartkę zapisaną i pomazaną papieru, na którą bystro z pod okularów spojrziała ciotka i rzekła:



— No, przeczytaj baroniuniu; choć ja tam do hrabiów nie pisuję, ale w swoim czasie znałam ich bez liku... Przeczytaj, ale wpierw mi powiedz, gdzie i kiedy znalazłeś tego Schippenberga, czy tak? w jakich okolicznościach? bo jakżebyś mogła inaczej zrozumieć, czyś dobrze odpisał.

— Powiem prawdę dobrodziejce, że go jak przez sen pamiętam i tak tylko mi się coś majaczy.

— A cóżeś wczoraj tak desperował? — zawołała z oburzeniem ciotka; — po co nas było tak rozczulać? Myśleliśmy, że to jaki przyjaciel. Kiedyż to było?

— Al do licha, jak dobrodziejka zacznie człowieka spowiadać, to aż fe... przyjaciel, bo przyjaciel.

— Piękny mi przyjaciel, co jak przez sen...

— Dobrodziejka umie łapać za słowa — przerwał baron, kręcąc się na fotelu.

— To opowiadaj — rzekła ciotka z obojętnością, i niby z wielką uwagą zaczęła się przyglądać swej robocie, bardzo mało wagi przywiązując na pozór do opowieści barona, który zaczął:

— Było to w Berlinie: ja kończyłem dwudziesty piąty rok życia, a Schippenberg znacznie starszy, właśnie się żenił, gdyśmy się poznali, zdaje mi się...

— Zdaje ci się, baroniuniu? — przerwała ciotka — czy też?...

— Al dobrodziejka tak jesteś dokładną, jak ten braciszek u Reformatów... gdzież człowiek może pamiętać takie stare rzeczy. Poznaliśmy się u księcia Reuss.

— Ileż to lat temu?

Baron się namyślił i odparł:

— Będzie temu lat trzydzieści.

Ciotka odłożyła robotę i patrząc się baronowi prosto w oczy, przerwała:

— To być nie może, bo w takim razie baron miałbyś lat pięćdziesiąt i siedm, a dopiero onegdaj sam powiedziałeś, że kończysz czterdzieści i dziewięć.

— A u licha! — zawołał baron i zerwał się z fotelu. Rozdrażniony przeszedł się kilka razy po pokoju i znów siadając, zaczął:—Co dobrodziejka mnie egzaminujesz? Co ja tam pamiętam...

— Sam mówisz.

— To musiałem być młodszy... dość, że poznałiśmy się, doskonale pamiętam, u księcia Reuss na wielkim asambli i zaprzyjaźnili. Potem się ożenił, a ja, ja? ja wyjechałem do siostry, która wychodziła wtedy właśnie za męż.

Baron wstał; ciotka mu się przypatrywała, a wreszcie zagadnęła:

— I cóż dalej baroniuniu?

— Nic dalej dobrodziejko.

— Tyle tylko?

— Potem jeszcze — mówił powoli, cedząc słowa baron—zdaje mi się, korespondowaliśmy ze sobą... zresztą nie pamiętam....

— Więc cóżeś baron tak się zmartwił wczoraj?

— No! widzi dobrodziejka! wspomnienia młodości... ta Adela, ta Adela napisała takim stylem...

Ciotka się uśmiechała, i aby przerwać nowe rozczulenie barona, zagadnęła:

— No czytaj, baroniuniu!

— Tylko mi nie przerywaj dobrodziejko i nie spowiadaj, bo to mnie deranżuje.. uwagi potem.. — odparł baron i czytał:

„Hrabianko! List twój przejął mnie głębokim smutkiem i rzewnymi łzami zapłakałem nad śmiercią mego najlepszego przyjaciela. W takich razach śmieszni są słowa pociechy i powstrzymam się od nich. Boleść moja jest niczem w porównaniu z boleścią twoją, hrabianko, tem większą, że ci przedwcześnie Bóg tak młodego zabrał ojca“.

— Cóż znowu?—przerwała ciotka—co mi za młodość! sześćdziesiąt i kilka, a może siedemdziesiąt lat; to żarty, baroniuniu.

Kiedy bo dobrodziejka nie możesz się powstrzymać od uwag swoich, przecież ja stary nie jestem?

— Kiedy tu o ciebie, baronie, nie chodzi, tylko o Schippenberga.

— Ależ ja byłem przyjacielem Schippenberga.

— Ależ tu nie chodzi o barona.

— Ależ—odpierał baron—ja się kompromitować nie mogę; ja nie chcę uchodzić za rówiennika hrabiego.

— Na miłość Boga, baronie!—zawołała ciotka—pocóż ta kokieterya? Opiekun powinien być starym.

— Co tam dobrodziejka wyjeżdża z opiekunem co za opiekun? Przyjaciół, młody, młodszy przyjaciel.

Ciotka się uśmiechnęła znów swym sprytnym

uśmiechem i skinęła, aby dalej czytał, do czego też baron z pośpiechem przystąpił, bo mu ta rozmowa wcale miłą nie była.

„Gdybym nie z ust hrabianki słyszał, nigdybym nie wierzył, że mój przyjaciel, którego pełnym siły, jakkolwiek znacznie starszym od siebie pamiętam“.

— Po cóż to? — przerwała ciotka.

— No—odparł tajemniczo i z werwą pewną baron — to już moja rzecz; ja chcę aby Adela wiedziała, że jestem młodszym od jej ojca,

— Mój drogi baroniuniu, mów ś. p. ojca.

— Czytam dalej—zawołał baron, i czytał.

„Różne ważne interesa, obowiązki i zajęcia, wstrzymują mnie w Krakowie, bo inaczej zarazbym pospieszył do Paryża, pocieszysz cię hrabianko...“

Baron urwał, bo ciotka załamując ręce, przerwała mu z oburzeniem:

— Zwaryowałeś baronie! do Paryża? po co? cóż ci się stało? jakie interesa?

Barona do najwyższego stopnia rozdrażniały te ciągłe uwagi ciotki; nerwowo rzucając rękami, zawołał:

— Naturalnie, że mam interesa, naturalnie, że bym pojechał!

Ciotka widząc nienaturalny stan barona, przeżegnała się dwa razy, a udając najwyższe zdziwienie, milczała, przypatrując się tylko baronowi z nieopisaną ciekawością i ironią.

Baron czytał:

„Mam nadzieję jednak, że okoliczności pozwolą mi wkrótce złożyć ci moje uszanowanie, hrabianko; tymczasem żywię nadzieję, że zechcesz pani donosić mi o wszystkim, co cię dotyczy i co gorąco obchodzi Jej prawdziwego, przywiązanego przyjaciela“.

— Bardzo dobrze! bardzo dobrze! — przerwała ciotka — tyłkoby napisała zamiast „przyjaciela“ „opiekuna“.

— Co to też dobrodziejce wlało w głowę z tym opiekunem?

— To nie mnie, baroniuniu, tylko Schippenbergowi. Ale powiedz mi co będzie, jeżeli ta Adela napisze, abyś przyjechał? Co zrobisz?

— Bo to dobrodziejka nic się nie rozumie na galanteryi wielkoświatowej. Tak się pisze, a zresztą gdyby...

— To co?

— Tobym pojechał.

Ciotka nic nie odpowiedziała, tylko powtórnie się przeżegnała.

Baron zaś wstał i przeszedłszy się kilka razy po pokoju, przystanął i tak zaczął.

— Dobrodziejka mnie zupełnie na równi traktujesz z konsyliarzem, sędzią i pułkownikiem, a to zupełnie co innego. Dlatego, że lat dwadzieścia żyję z tymi nudziarzami i gram w tego nudnego bezika, dobrodziejce się przywidziało, że ja, to nic innego jak konsyliarz, który z Krakowa nosa nie wychylił; lub sędzia, coby się bez swej pierzyuy ani minuty nie ob-

szedł. Ja jestem człowiek światowy; tak dziś żyję, bo mi się tak podoba. Jutro mogę żyć inaczej. Ja jestem jeszcze młody. Ja się mogę ożenić. Ja mam stosunki, relacje, tytuł... ja mogę mieć jeszcze majątek, krocie. Dobrodziejce się zdaje, że o mnie nikt nie wie i nikt nie dba... ot... a list ten? Teraz się przekonała pani, jakie ja miałem stosunki i jakie znaczenie.

Ciotka wystąpieniem barona tak wyglądała zdziwiona i przerażona, iż nic nie odpowiadając, jeszcze raz się przeżegnała. Wszystko to ważyła z oczami w robotę utkwionemi. Baron chodził po pokoju, przyglądał się sobie w dużym lustrze stojącym w kącie, prostował się, poprawiał krawat i mankiety.

Ciotka z pod okularów wszystko to widziała, i zagryzła wargi, które do uśmiechu się układały.

Baron nad nią stanął i znów tak zaczął:

— Co mnie do licha do tego Krakowa ściągnęło? Gdybym był osiadł w Paryżu, lub jakiej stolicy! Zmarnowałem najpiękniejsze lata, młodość, piękność!

— Mój baroniuniu—przerwała ciotka, podnosząc na niego oczy — znam cię lat dwadzieścia i zawsze takim byłeś, jakim dziś jesteś. Nic się nie zestarzałeś.

Baron udał że nie słyszy, i dalej ciągnął.

— Człowiek się zaniedbał, zapomniał języków, manier salonowych w tej mieścinie. Zardzewiał w tem towarzystwie; codzień to samo, pułkownik i sędzia, konsyliarz i baron. Już mam tego po uszy.

Ciotka wyglądała zniecierpliwiona; odłożyła robotę, zdjęła okulary, a wszystko to robiła powoli i systematycznie.

Wreszcie spojrziała na barona i opierając głowę na rękę, z zadumą rzekła:

— Baron Fifi bredzi.

Baron stanął zaperzony, jak wryty. Oczy jego zabłysły gniewem u niego niebywałym. Zaciśnął usta, podskoczył do ciotki i zawołał z furią w głosie:

— Proszę! wymawiam sobie! Jeśli dobrodziejka, albo ktokolwiek mnie jeszcze raz nazwie baronem Fifi, zrywam wszelkie stosunki, noga moja nie postanie u dobrodziejki. Obejdę się bez bezika i bez... kolacyjek. Baron Fifi! proszę! dość tego! Daję słowo honoru, do-drodziejce...

— Ależ baroniuniu! zastanów się! przyzwyczajenie lat dwudziestu, przyjaciele!

— Nie chcę!

— Chciej, albo nie chciej! — odparła rozdrażniona ciotka, wstając z krzesła — ja się nie odzwyczaję; byłeś lat dwadzieścia i będziesz baronem Fifi! co mi znowu?

— Tego zawiele! — zawołał baron — dobrodziejka mnie wypędzasz! wychodzę!

To powiedziawszy wybiegł z pokoju, zostawiając zdziwioną ciotkę, która dopiero się zabierała do sprzączek, jakie od czasu do czasu z jednym z bezikowiczów przeprowadzała.

Zaczęła też spacerować po pokoju, ręce ułożwszy na biodrach i mrużąc prawie głośno sama do siebie.

— Zwaryował baroniunio ze swą Adelą i z Pary-

żem... zupełnie mu ta opieka i to wszystko w głowie przewróciło... Gotów się pogniewać, bo jakże tu przeskodzę, by go konsyliarz nie nazywał Fifim... co znowu? A gdyby się pogniewał, a tak sędzia naprzykład, co to ciągle szwankuje, zmarł... Chryste Jezu, co też ja mówię. No, ależ i sędzia człowiek, wszyscyśmy śmiertelni...

Ciotka zadrżała, przeżegnała się trzy razy i dalej mruzczała.

— Albo gdyby pułkownik dostał tego gościa... takby ot, zaraz dzisiaj bezika nie było.

Nad tem bardzo długo się ciotka zamyśliła — wreszcie przeszła do drugiego pokoju i zawołała:

— Michale!

W chwilę czasu dopiero drzwi się otworzyły, i wszedł krokiem śmiałym niemłody służący.

Ciotka zaraz go tak zagadnęła:

— Mój Michale, gdybyś tak przeszedł do konsyliarza i dowiedział się, czy, broń Boże, nie chory.

— Co też pani się przywidziało; ta wczoraj zjadł pierś i skrzydło z kaczora, wypił trzy filizanki herbaty—odparł służący z pewną dozą złego humoru.

— Ale mój Michale...

— No pójdę, pójdę, skoro...

— A po drodze—czemprędzej dorzuciła ciotka—wstąp też i do pułkownika. Nie uważałeś wczoraj? nie miał apetytu...

— Co też się pani przyśniwa — odparł sługa — a cóż mam powiedzieć pułkownikowi?



— No, nic... dowiedz się czy zdrów... on tam często szwankuje.

Michał z wyrazem zdziwienia, głową pokiwał i zbierał się do wyjścia, ale ciotka odedrzwi go jeszcze odwołała:

— A mógłbyś po drodze, jak pójdziesz po pułkownika, wstąpić i do sędziego.

Na te słowa Michał się obruszył i powracając, zawołał:

— Co też pani ze mną wydziwia! Co ja stary mam nogi terać po tych darmozjadach. Co im ma być, ino patrzeć, kiedy się zacznie: dyńdyńdyń... baron; dyńdyńdyń... wali sędzia, a sapie; dyńdyńdyń, pakuje się z tą walizą zamiast brzucha konsyliarz; dyńdyńdyń jest i pułkownik... Aż człowiekowi już obmierzło... Oniby mieli choro wać! A ktoby panią objadał?

Michał ze złością to wszystko wyrecytował, a ciotka przywykła do tego rodzaju uwag, milczała. Michał więc dalej ciągnął?

— Ja mam chodzić dowiadywać się czy zdrowi? A hultaje! za pozwoleniem. Coby mieli być chorzy? coby robili? Zkądby konsyliarz wziął na piwo? Baron by z głodu umarł! A tak co wieczór każdy panią skubnie w kartach, obje się jak wilk, opije jak bela, i do domu aż do drugiego dnia.

— Co też ty, mój Michale bredzisz — przerwała ciotka — co mnie mają skubać... Raz ja, raz oni wygrywają... ja nawet najczęściej wygrana...

Ciotka niedokończyła, bo Michał się reześniał i zawołał:

— A bodajby to prawdą było... Paniby kamienicę kupiła lepszą, jak kamienica Szulca, gdyby zebrać te pieniądze, co te juchy wybrały; co to mówić? Kropla wody, a wyźłobi kamień. Konsyliarz jakie sobie sprawił futro! a baron jak się urodził z trzema guldenami tak ich nie rusza, tylko z pani żyje...

Ciotka była zirytowana; spostrzegł to Michał, i zmierzając ku drzwiom, zaśmiał się jeszcze i dodał:

— Pani wygrana... ha ha ha... ino patrzeć, kiedy sobie konsyliarz z sędzią kamienicę kupią.

To powiedziawszy wyszedł, a ciotka bardzo zamysłona, podążyła do stolika z robotą.

### III.

Trzy dni mijały, jak baron v. Culwer nie pojawiał się na bezika u mej ciotki.

To też niezadowolnienie malowało się na twarzach wszystkich bezikowiczów, siedzących około dobrze nam znanego stołu.

Bądź co bądź, barona Fifi brakowało i niebyło z kogo żartować, a przyzwyczajenie lat dwudziestu w wieku bezikowiczów, niepospolitą adgrywało rolę.

Zrestą to zniknięcie barona, grubo drażniąc ciotkę, wszystkich intrygowało.

— Moja dobrodziejko—przemówił konsyliarz po kolacyi, gdy zarumieniony zajął swe zwykłe miejsce—tak nam tego barona Fifi brakuje! Był to niezły człowiek.

— Hum, hum, hum — chrząknął znacząco sędzia, a pułkownik zrobił dziwną minę i uśmiechnął się ironicznie.

Uśmiech ten nie uszedł uwagi ciotki.

— Cóż pułkownik się tak dwuznacznie uśmiecha? — zapytała.

— Jak generała kocham — odparł pułkownik — tak coś w tem jest. Baron nie zrywałby z dobrodziejką tak dla niczego. Kto wie? gotów się jeszcze ożenić z tą Schlipp... zapomniałem, jak generała kocham.

Śmiech jeneralny przerwał pułkownikowi.

— Baron ożenić! ha ha ha! — pękał ze śmiechu konsyliarz, rozkładając się na fotelu.

Sędzia zaś, który nigdy nie wychodził z karbów dobrego wychowania, uśmiechał się bardzo zagadkowo, wlepiając oczy w karty.

Ciotka zanosząc się od śmiechu, zawołała:

— Co też pułkownik? baron ożenić! ha, ha, ha! Co też pułkownikowi do głowy przyszło?

Ten się obruszył.

— A dobrodziejko! — jak generała kocham—zawołał — nicby w tem nie było dziwnego; baron o dwa lata młodszy odemnie i zdrów.

Ciotka z konsyliarzem wymienili znaczące spoj-

rzenia, a sędzia chrząknął po trzykroć silniej i głośniej, niż zwykle.

Pułkownik znał się widocznie na tem chrząkaniu, które się ciągle powtarzało i wyrażało wszystkie myśli małowównego sędziego, bo się zaperzył i zawołał:

— Co waćpan chrząkasz? czy masz katar, czy koklusz? jak jenerała kocham! Tu niema co chrząkać... baron musi się ożenić? Ja żadnych głupstw nie mówię; baron jest w sile wieku, baron jest o dwa lata odemnie młodszy.

— Hum, hum, hum — zachrząkał znów sędzia, a konsyliarz i ciotka parsknęli śmiechem.

Tego już za wiele było pułkownikowi, który się zerwał i wybuchnął:

— Jak jenerała kocham! mam już dosyć tego chrząkania.

Rzucił kartami o stół, zerwał się i wybiegł.

Ciotka, konsyliarz i sędzia, spojrzeli po sobie, a potem utopili oczy w kartach i tak bardzo długo siedzieli niemi i nieruchomi.

Pułkownik dawno już opuścił mieszkanie, a oni jeszcze studyowali karty głęboko pomieszani i zdetounowani; zbierali myśli i szukali ratunku z tej pozycyi bez wyjścia, w obec braku partnera i „zapaśnego bezi-kowicza.“

Konsyliarz był pąsowy, sędzia siedział jak mumi, a ciotce drgały wargi i nos dziwnie się opuszczał i wydłużał.

To milczenie tak się przeciągało, iż wreszcie

wszystkim stawało się uciążliwym i pozycję przykrą pogorszało.

Nikt nie chciał się odważyć na pierwsze słowo, i nikt go na ustach nie miał. Każdy przerażony był na razie, tem nagłym rozbiciem się trzydziestoletniego bezika.

Zegar im przyszedł w pomoc, bo wydzwonił ósmą godzinę.

— Ha ha ha — westchnął sędzia — dwie godziny zawcześnie wyszedł pułkownik, jeżeli się nie mylę; to już dawno takiego nie mieliśmy wypadku.

To zdecydowało ciotkę do zdjęcia okularów, a zdejmowała je tylko w ważnych wypadkach, gdy cała czynność ta była zarazem pretekstem dyplomatycznym, do czego innego zmierzającym.

Odłożyła karty z niezadowolnieniem widocznem i zabrała się do przecierania szkieł.

Konsyliarz zaś trzymał jeszcze karty w dłoni, i mocno zażenowany czekał.

Wreszcie odezwała się ciotka:

— Że też to sędzia nie umiesz się pohamować z tem chrząkaniem.

— Z chrząkaniem? — odpowiedział pytająco sędzia — cóż ja na to mogę? z chrząkaniem, ha ha ha — westchnął przeciągle i ironicznie.

— Sędzia sobie żartujesz — odparła ciotka — a tu niema co żartować. Sędzia jesteś niepohamowany! niby nie, a chrząkasz...

— Ha ha ha — westchnął w odpowiedzi sędzia.

— Ha ha ha. Hum hum hum, irytujesz mnie wacpan!—ostro odparła ciotka, naśladując sędziego i gwałtownie przecierając okulary.

Sędzia poczerwieniał: spojrział na ciotkę, potem na konsyliarza, który udawał że nic nie słyszy i nie widzi, ale na ustach pulchnych miał ironiczny uśmiech. Ten go też zdecydował na stanowczy krok; wstał bowiem, odszukał w pokoju swój kapelusz, chrząknął dobitnie trzy razy i oddając głęboki ukłon ciotce i konsyliarzowi, wyszedł.

Za chwilę nie było go już w mieszkaniu, tylko ciotka z konsyliarzem siedzieli naprzeciw siebie i milczeli jak zakłęci.

Na twarzy ciotki malowało się wysokie rozdrażnienie: nos jej cały poczerwieniał, rumieńce młodociane okryły jej oblicze, a małe oczka mrugały i błyszczały.

Konsyliarz otwierał usta, jakby chciał coś mówić, to je zamykał, wreszcie zdecydował się i tak zaczął:

— Wszystkiego tego narobił nam ten baron Fif, przewrócił w głowie pułkownikowi, i ztąd cała ta heca. A dobrodziejka swoją drogą niepotrzebnie przycięła sędziem. Raz gdy się zbuntował baron, poszedł za nim pułkownik, no w końcu i sędzia... paskudna historia... Ale co tu przyjdzie robić... bezik przepadł, jak Bożię kocham! I wszystkiego tego początkiem ten list tej... djabeł wie, jak się nazywa...

— Schlippenberżanki! — wtrąciła ciotka.

— Ona tego wszystkiego narobiła. Bo pomyśl

tylko dobrodziejka, jak baronowi nie miała w głowie przewrócić taka hrabska opieka. Ten hrabia chyba zwaryował: co? zkąd? komu? A niech go dunder świśnie, żebym ja miał dawać swą córkę w opiekę baronowi Fifif? Pomyśl dobrodziejka! To też przewrócił mu do reszty w głowie ten list. Zdaje mu się, że coś wielkiego, a pułkownik... A to heca.. pułkownikowi się zabrało na fumi... Niech ich dunder świśnie! Ten nie chce być Fifim, a był nim przez lat dwadzieścia. Drugi chce się żenić, trzeci robi się drażliwym. A niech dunder świśnie!

— Dunder, czy nie dunder—odparła ciotka—ale co będzie z bezikiem?

— No co? ha! dobrodziejko! bezik przepadł, przepadł!

Ciotka wyprostowała się przerażona i oczy bezwładnie prawie wytrzeszczyła na konsyliarza.

Tak siedzieli naprzeciw siebie z dobre pół godziny, w nieprzerwanem milczeniu.

— Ha! niech ich dunder świśnie!—zaczął znów konsyliarz—we dwoje dobrodziejko się nie ubawimy.—Ktoby to powiedział.. byłbym dał, no... sto guldenów, że tylko nas śmierć rozproszy.. Co to można wiedzieć! niech ich dunder świśnie!

Ciotka jeszcze nie ochłonęła, konsyliarz więc dalej prawił, desperował i tłómaczył—i za każdym razem wszystkich ich temu dundrowi polecał.

Wreszcie, a już około godziny dziewiątej, odezwała się ciotka.

— Niewdzięczniki!

Po tym epitecie nastąpiło milczenie, przerwane znów wykrzykiem ciotki.

— Niewdzięczniki! Pomyśl konsyliarz! ja, co tak dogadzałam temu baronowi...—ciągnęła dalej.—Ile razy zachorował, tom posyłała najlepsze kompoty, konfitury... bo to biedaczysko. Albo ten pułkownik: mój konsyliarzu, to ci tak powiem szczerze, że nieraz gdy mu brakło, to mu dodawałam... a nieraz, to i umyślnie przegrywałam do niego, widząc że jakiś kwaśny i pewno nie ma grosza przy duszy.

— Dobrodziejka byłaś ich opiekunką! — wtrącił konsyliarz.

— Kiedyś, powiem ci szczerze kochany konsyliarzu — mówiła dalej ciotka — baronowi nie przysłali pieniędzy i nie miał za co ani opłacić mieszkania, ani sprawić sobie garderoby na zimę. To wiesz co? musiałam od niego kupić ten obraz, coś się pytał, z kąd go wzięłam. Bo co było robić? mnie obraz był wcale nie potrzebny, ale baron wciąż chodził i skomlił.

— Ileż dobrodziejka dałaś?

— Sto guldenów!

— A niech go dunder świśnie!

— Może i wart?

— Co?

— To może i dobre malowidło; ta magnaterya; to słyszę drogo płaci landszafty.

— Landszafty nie równe landszaftom; z kądby co dobrego miał baron Fiti? dawnoby sprzedał! Okpił dobrodziejkę i basta!



— Niech go Bóg ma w swej opiece! — odparła ciotka i ciężko westchnęła.

— Ma dobrodziejka słuszność — zaczął konsyliarz — trzeba tę rzecz ułagodzić; nie można tego przedłużać. Gotowi się odzwyczaić od bezika, a wtedy... niech ich dunder świśnie... Zaraz jutro wstąpię do barona, niby... tak sobie... zobaczyć co tam się dzieje. Ot powiem, że mam amatora na jaki obraz... on wie, że jestem dobrze z hrabią z „Pod barana“.

— Doskonale! — wykrzyknęła ciotka.

— A potem tak sobie wieczorem wstąpię „Pod gwiazdę“; tam sędzia zwykle wypija dwa kufelki piwa. Z nim to pójdzie łatwo. A dobrodziejka niech pośle Michała do pułkownika.

— Cóż mu każę powiedzieć? bo jeśli konsyliarz myśli, że go będę przepraszała... O! niedoczekanie jego! niewdzięcznika!

— Ale nie — przerwał konsyliarz — niech Michał pójdzie... ot tak... niech tam się zamówi.

Tu konsyliarz wstał z trudnością, bo mu wspinały brzuch we wszystkich ruchach zawadzał i dalej mówił:

— No a teraz, choć to jeszcze nie nasza godzina, trzeba do domu. Niech ich dunder świśnie, choć może i lepiej, bo w ostatnich czasach to i żona mi dopieka, że za długo bezikuję, i stróż się krzywi; bo przyznam się dobrodziejce, że za każdym razem nie mam ochoty dawać mu dziesiątkę. Mruczy tam, otwierając bramę, a ja głowę chowam w kołnierz i sza... niech go dunder świśnie!

Tu konsyliarz pożegnał się z ciotką, i wytoczył z pokoju.

Ciotka zaczęła się przechadzać po salonie i zdawała się być pogrążoną w najgłębszej zadumie.

Michał wkrótce się zjawił pod pozorem sprzątnięcia filiżanek, kart i innych nieporządków.

Długo się kręcił, aż wreszcie zaczął.

— Wczas się dzisiaj jakoś porozchodziły te karciarze.

Ciotka milczała.

— A baron musiał zachorować u licha, czy co?

Ciotka milczała.

— A pułkownik „jak generała kocham“ wyleciał kiejby w rewolucyją... czerwoną... a nos na kwintę.

Ciotka jeszcze milczała.

— A sędzia — ciągnął dalej Michał, i zaczął się serdecznie śmiać—to sto pociech; żal mu było herbaty. Wie pani? wypił tylko jedną szklanekę, sto pociech!

Ciotka spacerowała po pokoju i milczała, jak zaklęta. A tu Michał koniecznie chciał się dowiedzieć powodu tego niezwykłego wypadku, więc jeszcze próbował.

— Konsyliarz tylko, szelma mądry! dotrzymał placu.

— Mój Michale—wreszcie odezwała się ciotka—nie terkotaj mi głowy. Dość mam kłopotu i utrapienia.

— Co za utrapienie — zawołał Michał—tożbym miał się czem kłopotać, jak tem, że baron od kilku dni nic nie wygrał... Pani doprawdy to tak stoi o tych pasibrzuchów, jak o...

— Powiedziałam ci raz, Michale—zawołała ostro ciotka — żebyś mi moich gości nie przezywał, bardzo sobie to wypraszam.

Michał ucichł, spojrzawszy z podełba na swoją panią i niby zabierał się do wyjścia. Ale jeszcze wtrącił.

— Mówili mi dziś na mieście, że Pinkus sprzedaje tę kamienicę w rynku... ho ho ho... co to za kamienica, a co za pokoje! I czyni: dwa sklepy... piwnice..

Ciotka i w tej kwestyi zachowała milczenie, więc też i Michał niezadowolniony wyszedł. A idąc przez pokoje, mruczał sam do siebie:

— A psubraty... pasibrzuchy... będą jeszcze wydziwiać pani... patrzajcie... Kamienicaby była, żeby nie te wyżygrosze; i to jeszcze fummy, ho ho ho!

---

#### IV.

Baronowi życie dziwnie płynęło, odkąd przestał bywać na kolacyjce i beziku.

Nie wiedział co robić z wieczorami; dziwnie mu było smutno i nudno.

Sam siebie nie poznawał w tym buncie i czasem zamyslił się, dlaczego go ten „Fifi“ teraz tak gniewał, a obojętnym mu był przez lat dwadzieścia.

W dzień to jeszcze pół biedy, ale gdy nadszedł wieczór, nie mógł sobie dać rady.

W dzień porządkował swoje papiery, odczytywał stare listy i dokumenta, opylał obrazy pozostałe mu jeszcze i brzozy, do których wielką przywiązywał wartość.

Ale w wieczór opanowywała go melancholia. Idealizował wtedy w wyobraźni obraz bezika i smak kolacyjki.

Ale że był upartym, nie chciał się upokorzyć. Zresztą zdawało mu się, że jakaś ważna w jego życiu znajdzie zmiana.

Co?—niewiedział, ale dość, że coś miało nastąpić. To przekonanie wzrastało codziennie, od listu tej Adeli z Paryża.

Z niecierpliwością czekał odpowiedzi i zupełnie na seryo pojmował swą rolę opiekuna.

— Że to ten Paryż tak daleko! — mrucał w jakiś czas pod nosem.

Właśnie obrachowywał przeciąg czasu, a obrachowywał go sto razy na dzień, jakiego potrzebuje list do dojścia do Paryża i retro, gdy ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę! — zawołał przerażony baron, bo nikt u niego nie bywał.

Drzwi się otwarły i wszedł pułkownik.

— Jak jenerała kocham! — zawołał od drzwi — tak nie spodziewałem się waćpana zastać.

— I ja nie spodziewałem się honoru... — wyce-

dził baron, szeroko roztwierając usta i witając się z przybyłym.

— Cóż waćpana nie widać?—zapytał pułkownik.

— Tak jestem zajęty różnemi interesami — cędził baron — że doprawdy...

Ale pułkownik mu przerwał.

— Co za interes, jak generała Kocham!

— Interesa... no... interesa mam... — wspaniale i dobitnie głosem gardlanym wycedził baron.

Pułkownik znał z tej strony barona i wiedział, że manią jego było, udawanie człowieka mającego rozległe stosunki i interesa, choć Bogiem a prawdą, żadnych nie miał. Nie należał więc, tylko zaraz przystąpił do rzeczy.

— Wystaw sobie waćpan, co mi się wczoraj przytrafiło...

— Co? no gadaj pan...—przerwał baron, szeroko roztworzył usta i zaciekawiony słuchał.

— Wystaw sobie waćpan! pokłóciłem się z dobrodziejką panną Rapalską.

— Pokłóciłeś się! he... he...? i o cóż takiego?

— O waćpana!

— O mnie?

— O waćpana! Ja twierdziłem że waćpan, skoro jesteś młodszy odemnie, śmiało możesz się ożenić.

— A z kimże? — zapytał baron, rzucając na pułkownika przenikliwe spojrzenie.

— No z nikim.

— A to co innego — wycedził baron.

— Tak się zgadało — ciągnął dalej pułkownik—

że waćpan mógłbyś się wreszcie i ożenić z tą, do djabła, jak się tam nazywa...

— Z kimże?

— No z tą... z Paryża... Adelą.

— Adelą, hrabianką Schippenberg! — dokończył baron, rozwarł usta i oczy wlepił w sufit. W głowie mu się męciło. Po dobrem milczeniu zapytał:

— I cóż na to imci panna Rapalska?

— Wyśmiała mnie.

— Wyśmiała pana?... a... wyśmiała?

— I tem obraziła i mnie, bo przecież ja rówien-  
nik prawie waćpana, dwa lata...

— Nie wiem.

— Jakto waćpan nie wiesz? — ofuknął pułkownik — wszak zawsze uchodziło, żeś się rodził w roku 1815-ym, a więc masz lat pięćdziesiąt i cztery, a ja...

— To się pomyliłem — przerwał baron bardzo powoli — bo właśnie wczoraj przeglądając papiery, przypadkiem wpadłem na metrykę i sam się, dalibóg, ogromnie zdziwiłem, bo jak wół w niej stoi, że się urodziłem w r. 1825-ym.

— Miałbyś więc — huknął, zrywając się pułkownik — lat czterdzieści i cztery, byłbyś młodszym o lat siedem. Hola! panie baronie, tego za wiele, jak jenerała kocham! Przez dwadzieścia lat, odkąd się znamy, rodziłeś się w 1815-ym, i teraz nagle o dziesięć lat chcesz się odmłodzić; hola! niema głupich.

— Ależ metryka!

— Pokaż waćpan!

— Nie wierzysz? pokażę!

Baron otworzył szufladę pełną papierów, i po długim w niej szukaniu, podczas którego pułkownik obchodził apartament, zawołał, cedząc:

— Tak się gdzieś zapodziała, że ani sposób; a wczoraj ją w rękach miałem... Odszukam i pokażę...

— Metryka, to furda! — huknął pułkownik—ot! masz waćpan lustro; przejrzyj się, a sam osądzisz, czy tak może wyglądać czterdziestotrzyletni kawaler?

— Wolno wierzyć, lub nie.

— Ale nie po to tu przyszedłem, tylko w innym interesie.

— Słucham—czempredzej zawołał baron, szczęśliwy że się skończyła ta kwestya metryki, która z pułkownikiem mogła się była gorzej skończyć.

— Otóż—ciągnął pułkownik — po tem ubliżeniu waćpanowi i mnie pośrednio, panny Rapalskiej, wyszedłem wczoraj wieczorem o godzinie 8-ej.

— Jakto? przed kolacją? — z wielkim zdziwieniem zapytał baron.

— Nie, ale zaraz po kolacyi.

— Przed końcem bezika?

— Przed.

— Aaa... Aaaa...

— Nie będę więcej bywał, a waćpan?

— Ja od kilku dni już zerwałem.

— I o cóż?

— Nie mówiła wam nic panna Rapalska? — zapytał w odpowiedzi baron.

— Nie, jak jenerała kocham?

— Otóż widzi pułkownik — cedził baron — poszło o tego Fifi. Dawniej, to było dobrze, ale teraz pozycja moja się zmieniła... nie mogę pozwolić...

— A czemuż się tak zmieniła?

— No, wszak ta opieka, zapomniałeś waćpan?

— A... rozumiem... — odparł pułkownik — tylko co robić będziemy?

— Ja mam swoje projekta i radzę także waćpanowi...

— Jak jenerała kocham! jak tu wytrzymać, co robić z wieczorami?

— I te kolacye, nie można powiedzieć, jak, że były przyzwoite.

— Wspaniałe! — dodał pułkownik.

— I smaczne, jak nigdzie — wtrącił baron.

— I obfite — jeszcze zakończył pierwszy.

— A herbata! co to za smak! doskonała woda — znów zaczął baron — przez wzgląd też na te i inne okoliczności...

Nie dokończył, bo pułkownik się zerwał z krzesła i zawołał:

— A! jak jenerała kocham, widzę, że waćpan mięknie.

— Bynajmniej... tak tylko mówiłem... mnie nazywać Fifim? Mnie!

— Opiekuna hrabianki, do djabła...

— Hrabianki Schippenberg! — poprawił baron.

— Jak jenerała kocham, nie! — zawołał pułkownik.



— I twierdzić — znów zaczął baron powoli — że waćpan hm... człowiek młody... silny... w sile wieku.

— Tak w sile wieku, jak jenerała kocham!

— Twierdzić, że waćpan się ożenić nie możesz...

— Tak nie; panna Rapalska twierdziła, że to waćpan się ożenić się nie możesz—przerwał pułkownik.

— Ale tem samem?

— No tak...

— A więc, bądź co bądź — zaczął znów cedzić baron — obejdziemy się.

— Obejdziemy!

— Słowo?—zapytał baron.

— Słowo.

Wtem znów zapukano do drzwi. Obaj podskoczyli.

— Może nas kto podsłuchał?—zapytał pułkownik z przestraszem.

— Cóż znowu? Proszę!—zawołał.

Wszedł Michał, a trzymał jakiś pakuneczek.

— Pan Michał! — wykrzyknęli obaj, a uradowanie odbiło się na ich twarzach.

— Moja pani mnie przysyła — mówił pan Michał — przybliżając się do stołu, przy którym siedzieli, aby zapytać o zdrowie pana barona.

— O... dobrze... wcale dobrze...

— I przysyła—ciągnął dalej Michał—butelkę.

— Butelkę? — przerwał baron, a oczy mu się zaśmiały.

— Butelkę starego, oj! starego, bo moja pani myśli, że pan baron zaniemógł.

— A bardzo dobrze, bardzo dobrze!—odparł baron tonem wielkiego pana, który mu był zwykłym.

Michał się uśmiechnął, a pułkownik odwił butelkę.

— Węgrzyn! jak jenerała kocham! — mruczał.

— A więc — ciągnął dalej Michał zabierając się do wyjścia — powiem pani, że pan baron dziś wieczorem będzie na herbacie.

— A będę... będę... powiedz pani i podziękuj...

— I pan pułkownik naturalnie?—wtrącił Michał.

— A tak... tak... i pan pułkownik — odparł za pułkownika baron.

Michał wyszedł, a pułkownik zaraz obrócił się do barona.

— Cóżes waćpan zrobił? a układ?

— Układ układem! a grzeczność grzecznością!— odparł baron i zabierał się do odkorkowania butelki, co widząc pułkownik, zmiękł zupełnie i odezwał się:

— Tak! jak jenerała kocham! układ układem, a grzeczność grzecznością... Wypijemy za zdrowie panny Rapalskiej... dobra kobiecina.

Baron z nieokreślonym uśmiechem na ustach, nachylił się do pułkownika, roztworzył szerokie usta i szeptem wycedził:

— Najprzód za zdrowie... mej pupilki... hrabianki... Adeli!

— Zgoda!

Baron nalał dwa kieliszki, które odszukał w szafce, i usiadł przy pułkowniku. Obaj zaczęli popijać, gustować, smakować, a za każdym kieliszkiem inne wymyślali zdrowie.

Nosy obu czerwieniały widocznie, humory się poprawiały i języki rozwiązywały. Było to bowiem pierwsze od lat dwudziestu zbliżenie się pułkownika z baronem. Obaj nie sympatyzowali ze sobą, jeden drugiemu zawsze coś zarzucał; pułkownik miał pretensję do barona, że udawał pana i prawił o swych stosunkach, a baron znów do pułkownika, że nie uznawał jego tytułu. Prócz tego były i inne poboczne odwieczne urazy. Ale widocznie ostatnie wypadki ich zbliżyły, a wino rozpędziło ślad jakichkolwiek dawnych zawiści.

Gdy już w omszałej butelce mało co płynu pozostawało, nagle, po dość długiej przerwie, w te słowa odezwał się pułkownik, uderzając ręką w kolano barona i nachylając się do niego z miną tajemniczą.

— Gdybym był tobą, to jak jenerała kocham, z tej opieki zrobiłbym małżeństwo?

— Małżeństwo? jakto?—zapytał baron.

— „*In vino veritas*“ taka mi myśl przyszła — odparł pułkownik i połknął ostatek kieliszka.

Baron zaś się zamyślił, ale tak głęboko, iż dobry kwadrans z otwartymi ustami, a oczami wlepionymi w sufit, nieruchomie siedział.

— Kto wie? — mruknął wreszcie, — mówisz wać-

pan, że „*in vino veritas*“<sup>4</sup>. Kto wie?... pomyślę nad tem, nie byłoby to od rzeczy...

— A raz ożeniony i mnie byś waćpan wyswatał.

— A naturalnie... rzecz ta wymaga czasu i roz-wagi. Kto wie?... — mówił urywkami, zastanawiając się widocznie baron.

I znowu nastąpiło długie milczenie; węgryzn mu-siał być dobrym, bo twarz pułkownika jaśniała czer-woną barwą, prócz zmarszczków żółto odbijających. Nos zaś barona niemiecki i duży, cały czerwony, na-brał nieokreślonego wyrazu ciężkiego sprytu i jakby dowcipu.

Mówić już nie mieli ochoty.

Baron drżącą ręką wylał resztę butelki, która w sam raz wystarczyła na napełnienie obu kieliszków, i stukając jednym o drugi, zagadnął:

— Kochajmy się! panie pułkowniku!

Pułkownik się zerwał, powstał i baron, i obaj rzucili się sobie w objęcia, mrużąc i bełkocąc niewyra-żne słowa i zdania.

— Powodzenia we wszystkich projektach! — mrużął pułkownik.

— Powodzenia! — powtórzył baron, — powodze-nia!.. Kto wie... o wszystkim będę cię informował.

— O, tak, razem! jak generała kocham! razem! powtarzam ci... z opieki zrób małżeństwo! — bełkotał pułkownik.

Wychylili kieliszki, jeszcze długo sobie przyrze-kali i obiecywali, kilkakrotnie jeszcze się ściskali, aż

wreszcie baron obsunął się na fotel, a pułkownik krokiem chwiejnym doszedł do kanapy.

Wino było stare, a głowy obu snać słabe i nieprzyzwyczajone.

Tak spali około sześciu godzin. Pierwszy obudził się pułkownik, i z podziwieniem spojrzął na zegarek.

— Baronie! baronie!—zawołał—siódma godzina! gwałtu! wielki czas...

— Siódma? mówisz?—odparł obudzony baron.— To już konsyliarz z dobrodziejką czekają... chodźmy!

Czemprędzej się zebrali i za chwilę, w najlepszej zgodzie, pod rękę maszerowali przez rynek, Sławkowską, na bezika do ciotki.

U bramy przystanął pułkownik.

— Pamiętaj—zagadnął—żeśmy wypili „kochamy się“; to święte!

— Święte? — zapytał w odpowiedzi baron i nachylając się do ucha pułkownika, cicho wycedził:

— Obliczyłem, że list ztąd do Paryża idzie dni cztery, z Paryża tutaj dni trzy tylko; zostawiam jeden dzień Adeli czasu na namysł i odpis. To wypada, że pojutrze wieczorem mogę mieć... wiadomości.

— Hohoho! — zawołał pułkownik, — jeszcze się jak generała kocham, poženimy!

— Tylko sza... cicho... wtrącił baron, a rękę podnosząc w górę i palcem wskazując sam środek sklepienia sieni nad sobą, dodał: — gdyby oni wiedzieli... hahaha... coby to było.

— Sekret!

— Sekret!

I jeszcze coś szeptaając, zmierzili ku ciemnym schodom, prowadzącym do mieszkania ciotki.

---

Minęło kilka tygodni; bezik dalej szedł w dawnym porządku i w odwiecznym składzie.

Spokój zupełny zapanował w usposobieniach bezikowiczów i przyzwyczaili się nawet do małych zmian, jakie zaszły w ich wewnętrznych stosunkach.

A zmiany te były w oczach ich niepospolite.

Pułkownik z baronem, co się przez tyle lat znosić nie mogli, żyli w największej poufałości i zgodzie, „tykali się“, jak drwił konsyliarz—i jak razem do ciotki przychodzili, tak też razem wychodzili.

Wszystkich to niezmiernie dziwiło i zaciekawiało, ale nic zbadać nie mogli.

Konsyliarz przestał żartować z barona Fifi, a ile razy ten nieszczęsny „Fifi“ mu się wyrwał, to takiego dostawał od ciotki nogą pod stołem szturchańca, że na długi czas pamiętał.

A i sędzia coraz bardziej chrząkał i „hehe“ nucił.

Ciotka ciągle przypominała konsyliarzowi i sędziemu:

— Moi drodzy! pamiętajcie też, bo jak znów kiedy baron się pogniewa, a pułkownik zbuntuje, to przepadł bezik.

Uznawali słuszność tej uwagi, tak konsyliarz, jak

sędzia, ciągle trzymami na wodzy przyjaźnią i solidarnością barona z pułkownikiem.

Raz nawet konsyliarz przyszedłszy wcześniej do ciotki, tak ją zagadnął.

— Wie dobrodziejka co? że dłużej to i nudno tak na swój język uważać... Cóż oni sobie myślą? To monopol, dobrodziejko! monopol w wolnym mieście! trzeba poszukać „zapaśnego bezikowicza“. Mam nawet bardzo przyzwoitego jegomościa; może zna dobrodziejka tego Wordęgę od akcyzy, on teraz owdowiał...

— A dajże mi konsyliarz pokój z nowymi znajomościami na moje stare lata.

— To dobrze, to bardzo dobrze — tłumaczył dalej konsyliarz, — ale pytam się dobrodziejki, co dalej będzie, jeśli kiedy znowu baron Fifi z pułkownikiem się zbuntują?

Ciotka czerwieniała na samą myśl i milczała.

— Wtedy bezik przepadł! — kończył konsyliarz, a widząc że ciotka jeszcze nic nie odpowiada i nowej znajomości z tym Wordęgą od akcyzy sobie nie życzy, dodał:

— Niech go dunder świśnie!

Tymczasem bezik trwał dalej, a ciotka się wysadzała na smaczne kolacje i przysmaki, aby tylko zły humor któregośkolwiek z bezikowiczów nie był przyczyną fatalnej recydywy.

Wreszcie zapomniano o wszystkim.

Ciotka uznała, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło i przyzwyczaiła się do przyjaźni pułkownika

z baronem, gdy raz dziwny wypadek dał jej dużo do myślenia.

Podczas bezika, pułkownik tak się do niej odezwał:

— Dziś o mało, żeśmy się z baronem nie pokłócili.

— O co?

— O małą rzecz... małą!.. — przerwał pomieszany baron.

— Gdzie tam, o małą! — zawołał pułkownik — jak jenerała kocham! nie małą, ale dobrodziejka najlepiej rozsądzi.

— Bardzo cię proszę! — zawołał przerażony baron.

Ale pułkownik znacząco spojrział na barona i dalej mówił:

— Otóż baron dostał list...

— Od hrabianki! — zawołali razem ciotka i konsyliarz.

— Gdzie tam, od jakiej hrabianki — przerwał baron.

— Dość, że dostał — ciągnął dalej pułkownik — od pewnej wielkoświatowej damy, w którym mu pisze, że kupiła sobie za pięć tysięcy franków *dormezy*. Otoż ja twierdzę, że *dormeza*, to jest karetka w której można spać; baron zaś twierdzi, że to są kolczyki.

Wszyscy spojrzeli po sobie badawczo, ciotka mocno poczerwieniała i pełne wyrzutów i smutku wejścia rzuciła na barona. Ten zaś uśmiechnięty, nadrabiając miną, cedził:

— Tak... tak... niezawodnie kolczyki.



— Pamiętam — odparła ciotka — że mówiono w Warszawie o bardzo pięknym pojeździe, który nazywano dormezą.

— A co? Jak generała Kocham! — huknął pułkownik.

Bezik przerwano; każdy odłożył karty, tak ta kwestya ich zainteresowała, tem więcej iż ona dowodziła, że stosunki barona z Adelą trwały. Każdy też z miny jego starał się czegoś dowiedzieć.

Baron uradowany powtarzał:

— Niezawodnie kolczyki... ja się znam na tem, nie macie co radzić.

— Kolczyki! cóż znowu? — zaśmiał się konsyliarz; niech go dunder świśnie z kolczykami, — a obracając się do sędziego, zapytał — A pamiętasz sędzia, bo jak przez sen sobie przypominam, że generał Wodzicki wybrał się raz w r. 1817-ym w podróż dormezą:

— A pamiętam — odparł sędzia — pamiętam, nawet widziałem.

— A widzisz! widzisz waćpan? — tryumfował pułkownik.

Baron nie dał się przekonać mimo wszystkiego i zakonkludował, że tak dawniej się nazywała karetka, a dzisiaj kolczyki.

Upór barona do takiej irytacji doprowadził bezkowniców, że o mało nie przyszło do awantury między nim a wszystkimi. i tylko ciotka zdołała burzę zażegnać.

Jdnakże dnia tego wcześniej się rozeszli, a konsyliarz obiecał sam wstąpić do jubilera i przekonać się, azali rzeczywiście baron nie miał racji.

Ciotka bowiem szepnęła na ucho konsyliarzowi, że, jeżeli istotnie dormeza jest karetą, to chyba hrabianka wybiera się w podróż do Krakowa.

Konsyliarz musiał obiecać uroczyście, że zaraz nazajutrz rano wstąpi jej donieść, czem jest ta dormeza.

Panna Rapalska bardzo zmartwiona i zaintrygowana, czekała następnego dnia przybycia przyjaciela. Szczególnie ją bolało to, iż jasno pokazywało się ze wszystkiego, że baron korespondował z hrabianką i to przed nią w sekrecie.

Już widziała przyjeżdżającą hrabiankę w dormezie, odbierającą jej barona i obsypującą go darami, zbytkiem i t. p.

Na drugi dzień, wstawszy wcześniej niż zwykle, usiadła przy oknie i wyglądała konsyliarza.

Na kilka minut przed dziewiątą zjawił się tenże i z drugiego pokoju już wołał:

— Niech go dunder świśnie! Dobrodziejko! teraz kolczyki nazywają się dormezy przez *eu*.

— Jezus Marya! co się też dzieje na świecie, — odparła ciotka uradowana, bo zniknęła możliwość przyjazdu hrabianki.

Konsyliarz długo nie bawił, bo śpieszył się do biura.

Ciotka została samą, głębokiej oddając się zadu-

mie nad baronem. Teraz wszystko, przyjaźń z pulko  
wnikiem, różne wejrzenia, słowa które w ostatnich  
czasach podchwyciła, przybierały w jej głowie pewną  
doniosłość i znaczenie,

Wtem zadzwoniono.

Wszedł baron.

Rumieńce szczęścia okraśliły twarz ciotki; przy-  
witała go też najmilej i posłała zaraz do cukierni na  
dół po ciastka.

Baron bardzo zażenowany, po chwili tak ją za-  
gadnął:

— Przyszedłem do dobrodziejki poradzić się...

— Cóż takiego?

— Sekret... ale...

-- No mów, kochany baronie!

— Dobrodziejka bywałaś w wielkim świecie, to  
mi poradzisz...

Ciotka odłożyła robotę i okulary.

— Najlepiej krótko i prosto do rzeczy—ciągnął  
dalej baron—odebrałem list...

— Od pupilki?

— Od pupilki, ha, ha, ha!—zaśmiał się baron.

— No mów!

— Otóż prosi mnie, bym jej przysłał swoją foto-  
grafię.

— A masz baron?

— Mam—odparł, filuternie się uśmiechając i się-  
gając ręką do kieszeni surduta;—mam, ale...

— Ale? no pokaż baron!—zawołała ciotka, znów

podrażniona, że dotąd nie pokazał jej swego portretu i oszołomiona tym stosunkiem, który bez jej wiedzy się rozwijał.

Baron wyprostował się, na twarz przywołał zupełnie seryo uśmiech, rękę z kieszeni wyciągnął i podał ciotce fotografię. Tę uchwyciła ciotka jedną ręką, a drugą nakładała okulary. Nałożywszy je, w pewnej odległości przypatrywała się fotografii, a zdumienie malowało się na jej twarzy. Wreszcie zamruczała:

— Nie znam! Któż to?

— Nie poznajesz dobrodziejka?—zapytał baron.

— Nie, jakiś bardzo przystojny kawaler.

Baron się przybliżył, znów uśmiechnął i szepnął.

— To ja.

— Baron?

— Ja! a co! niepodobny?

Ciotka przypatrywała się baronowi, jakby go pierwszy raz w życiu miała przed sobą, to znów obejrzała fotografię.

— Być może—po długim namyśle rzekła — ale to temu lat dwadzieścia.

— Dwadzieścia? nie... niedawno temu.

— Żartujesz, baron?

— Żartuję?

Tu baron wyciągnął rękę po fotografię i schował nazad do kieszeni. Wszystko to jednak wywołało pozycję, której wynikiem było długie milczenie.

Ciotka ważyła te nadzwyczajne wypadki i nie mogła zrozumieć. Wreszcie zagadnęła:

— Każ się baron zrobić... na Podwalu mieszka Rzewuski, doskonały, mówię, fotograf.

— Gdzie mi tam się fotografować? — odparł baron.

— No, tej posłać nie możesz.

— Dlaczego?

W odpowiedzi, ciotka z nieopuszczającym ją zdumieniem na twarzy, spojrzała na barona, który się zmieszał. Ciotka nieśmiało zaczęła:

— Może baron jesteś w tej chwili bez pieniędzy, to ja ci mogę wygodzić... bardzo tanie te fotografie.

— Ale co też dobrodziejka myśli — odparł baron — ta jest bardzo dobrą... daję słowo... niedawną... nic się nie zmieniłem.

Ciotka jeszcze raz wyłupiła oczy na barona i zamilkła.

Baron zaś znowu wydobył swą fotografię i długo się jej z uśmiechem nieokreślonego zadowolenia przypatrywał.

Wreszcie pożegnał się i wyszedł.

Ciotka zaś mruczała pod nosem:

— Bzikuje baron Fifi!

I palcem co jakiś czas tarła sobie po czole, jakby ciągle myślała nad stanem umysłowym barona.

Wreszcie zwierzyła się cichaczem konsyliarzowi ze swych przypuszczeń. Ten uśmieł się do rozpuku, aż za brzuch się chytał i zakonkludował:

— Niech go dunder świśnie!

## VI.

Wiosna już się zbliżała. Bezik zaczynał się coraz później.

Bezikowicze zapomnieli już historyi *dormezy* i ciotka zapomniała o fotografii barona.

Oswoili się z tym jego stosunkiem korespondencyjnym z tą hrabianką, której nazwiska żaden nigdy zapamiętać nie mógł.

Raz nawet baron przyniósł był fotografię jej, ale z twarzą dziwnie zamazaną i niewyraźną.

Mimo to był uradowany i znajdował ją bardzo przystojną.

— Kiedyż tu nic nie widać! — obserwowała ciotka.

— Nie widać? — odpowiadał baron — figura... jaka dystygowana postać..!

Uśmieł się tylko konsyliarz, twierdzący że ta hrabianka musi być fatalnie brzydką, skoro tak sobie twarz wyskrobała.

Nad tem nieraz podczas całego bezika radzono.

Ciotka na wszystkie sposoby się brała do barona, aby zechciał jej pokazać listy jakie odbierał.

Ale baron odpowiadał.

— Mówię dobrodziejce, iż palę... palę zawsze wszystkie listy... palę.

— Niech go dunder świśnie! — wtrącił konsyliarz.

— Palę... palę... — cedząc zaklinał się baron

i uśmiechał dwuznacznie spoglądając na pułkownika, który tylko mruzczał:

— Jak jenerała kocham!

A sędzia odważał się od czasu do czasu na znaczące:

— Hum, hum, hum.

Konsyliarz wytłomaczył ciotce psychologicznie, iż starzy kawalerowie, a szczególnie tacy którzy nigdy się nie kochali, ulegają zawsze na starość fikcyjnym miłostkom.

Bądź co bądź jednak, baron od czasu tej opieki ogromnie zyskał na znaczeniu w kółku bezikowiczów. Ciotka pomimo iż czuła do barona głęboką urazę, że jej nie wtajemnicza szczegółowo w treść swych stosunków, okazywała mu daleko więcej życzliwości.

A baron nabierał coraz więcej pańskich tonów, jak sarkał sędzia, i coraz więcej ku radości konsyliarza prawił o interesach.

Bywało czasem, iż chciał wmówić w całe zgromadzenie, że tylko przypadkiem zapędzony interesami w tę stronę miasta, znalazł się na kolacyjce u panny Rapalskiej.

Pułkownik wtórował; a obaj byli jak zegarki regularni.

Tak mijały tygodnie.

Pewnego wieczora przyszedł, jak zwykle, niespodzianie konsyliarz. Ciotka miała bowiem zawsze coś do powiedzenia mu *partykularnie*, jak mówiła.

Zaraz też tak go zagadnęła:

— Wie konsyliarz, że te dwa nasze młodziki...

— Piękne mi młodziki — przerwał konsyliarz — sześćdziesiąt, i pięćdziesiąt dziewięć! Niech ich dunder świśnie!

— Te dwa młodziki — ciągnęła ciotka — coś knują. Czy uważasz konsyliarz te miny, te dwuznaczne słowa, te zerkania... ja to wszystko widzę i obserwuję.

— Niech ich dunder świśnie!

— No mówię konsyliarzowi, że to nie jest bez kozery... A wczoraj Michał spotkał barona, jak niósł pod pachą jakiś obraz, zawinięty w płótno.

— No cóż dziwnego? wszak Fifi przegrywa od tygodnia — zauważył konsyliarz.

— A ja wracając kiedyś od Reformatów z nie-sporów, widziałam w cukierni, w Sukiennicach...

— Co? co dobrodziejka widziałaś?

— Barona z pułkownikiem!

— A! niech ich dunder świśnie!

— Baron coś czytał pułkownikowi!

— Gazetę?

— List!

Konsyliarz aż wstał z miejsca i zaczął się przechadzać.

— Cóż myślisz o tem kochany konsyliarzu? — zapytała ciotka.

— Zaczekaj dobrodziejka, niechno się namyślę.

Ciotka czekała, ale tymczasem wszedł sędzia, a gdy on wchodził, zaraz przystępowano do kart.

Tasowano je, układano i czekano na pułkownika i barona.



Michał przynosił *Czas* i konsyliarz odczytywał ciotce *Kronikę* i *ogłoszenia*.

Tak też było i tego dnia, ale *Czas* odczytano, a tych dwóch nie było.

Siódma uderzyła na zegarze, później i wpół do ósmej.

Powoli ogarniała niecierpliwość całe towarzystwo, wreszcie przestrach. Obu razem nigdy nie brakowało.

Zbliżała się ósma. Rozdrażnienie gorączkowe opanowywało ciotkę i konsyliarza; sędzia tylko milczał i chrząkał.

Ósma wybiła.

— Coś się stało! — zawołała ciotka.

— Przecież nie daliśmy powodu do obrazy—bąknął sędzia.

— I tak się już zachowujemy przyzwoicie... — kończył konsyliarz, gdy Michał roztworzył drzwi od jadalnego pokoju i oznajmił kolację.

Ciotka była cała czerwona, najmniejsze bowiem podrażnienie powodowało u niej uderzenie do głowy.

Kolację spożywano w milczeniu, choć ani sędzia, ani konsyliarz nie stracili apetytów.

Ciotka wreszcie zaczęła:

— Mówię wam, że to wszystko nie jest bez kozery: racz sobie tylko konsyliarz przypomnieć wypadki ostatnich miesięcy i tygodni.

— Jakie wypadki? — przerwał sędzia.

— Jakie? różne najdziwaczniejsze, które muszą

być w związku z dzisiejszą nieobecnością barona i pułkownika.

— O tak! tu musi być związek — wtrącił konsyliarz, połykając ogromny kawał poledwicy.

— Bo rozważcie tylko — ciągnęła dalej ciotka — od początku wszystko po liście tej hrabianki Adeli: bunt barona, bunt pułkownika, historia tych *dormez*, fotografia barona...

— Fotografia Adeli... — wtrącił konsyliarz.

— Fotografia Adeli — powtórzyła ciotka i dalej mówiła — spotkanie Michała, moje widzenie...

— To dobrodziejka miałaś widzenie?

— Co konsyliarzowi znowu? przecież opowiadałam ci, że ich widziałam w cukierni...

— A... prawda... przepraszam...

— Tak... tak... — zamruczał sędzia — to wszystko, są ważne punkta.

— Niech ich dunder świśnie! — zawołał konsyliarz — co tu sobie głowę łamać? Ot, niech Michał przyjdzie do barona i zaraz dowie się o wszystkim.

Michał nie oponował, bo konsyliarza, jako właściciela kamieniczki przy ulicy Zimnej, poważał.

Zresztą i Michał zaniepokoił się tem podwójnem zniknięciem.

Ciotka zerknęła na Michała, a widząc że tenże na propozycję konsyliarza się nie krzywi, dodała:

— To przejdź Michał, ja się zajmę herbatą.. Bóg raczy wiedzieć... może i jakie nieszczęście.

— To blisko — dodał konsyliarz — przez Sienną,

potem około Św. Barbary, przez przechodnią kamienicę Feintucha i już Szpitalna...

— To i pójdę—odparł Michał i wyszedł.

Otucha wstąpiła na oblicza wszystkich; dalej omawiano te ostatnie wypadki i gubiono się w przypuszczeniach. Trwało to długo, a Michał nie wracał.

Po kolacyi przeszli do salonu, gdzie znów usiedli przy stoliku do kart. Dwa puste krzesła sprawiały na nich najprzykrzejsze wrażenie.

Konsyliarz pocieszał się z delicyą cygarem.

Sędzia co chwila zażywał tabaki i kichał, a ciotka stawiała kabałę dla barona.

W kabale występowała ciągle Adela, podróż i list.

— No, powiadam wam—mówiła—tuż przy baronie droga... ot dyska... i list... a ciągle stoi ta blondynka. Pułkownik także blisko i patrz konsyliarzu, bobyś nie uwierzył, ale ciągle przy baronie pieniądze.

— Pieniądze! niech go dunder świśnie!

— Hum, hum, hum...

Wtem dały się słyszeć kroki Michała w dalszych pokojach. Serca zabiły, a twarz ciotki pokryła się szkarłatem.

Na każdej z tych twarzy widocznem było usiłowanie niepokazania Michałowi, do jakiego stopnia był oczekiwany.

Tę komedycę grai i między sobą. Cóż każdego z nich tak dalece mógł obchodzić baron, czy pułkownik, czy obaj razem?

Kroki pospieszne Michała słyhać było zdaleka, takie grobowe panowało milczenie w pokoju...

Michał nie powłóczył nogami, jak zwykle, tylko biegł. Chód ten już zwiastował coś nadzwyczajnego i pilnego. Ciotka też stłumionym głosem wyszeptwała:

— Nieszczęście! poznaję... nieszczęście!

Michał stanął już na środku salonu.

— Niema barona! — zawołał zadyszany.

Ponieważ milczenie grobowe było odpowiedzią, Michał odsapnąwszy, dalej mówił:

— Baron wyprzedał wszystkie graty, wszystko do szczętu...

— Ale mów od początku — przerwał konsyliarz.

— A prawda; otóż poszedłem do pana barona...

— To wiemy... wiemy! — przerwała ciotka.

Michał się zirytował.

— Co to dużo gadać—ofuknął—od początku, czy nie od początku, to wszystko jedno. Dość, że baron się wyprzedał het... wszystko zabrały żydy ze Szpitalnej: meble, obrazy... garderobę nawet... co do nitki. Tak się już wyprzedawał od tygodnia, bo stróżka mówi, że sporo było rupieci.

— Jezus Marya! — zawołała ciotka, chwytając się za głowę obiema rękami.

Michał mówił dalej.

— Jakiś hrabia kupił nawet dwa landszafty i suto zapłacił, bo stróżka widziała u barona stówkę, a może i dwie... tak to jakoś były zwinięte... Wczoraj pod wieczór pułkownik, który także sprzedał co miał, choć co

on tam mój Boże miał! stółek, stół i łóżko... i byłbym zapomniiał, pałasz zardzewiały... odesłał do barona swoje zawiniątko. Potem zwołali żydów z całej Szpitalnej i dalej licytacya na graty... buty... różności! Dziś rano pułkownik z wąsem, jak Sobieski, baron ogolony jak szkło, kazali sobie przywołać dorożkę i pojechali... koleją wiedeńską... w świat i basta!

Michał odetchnął i obserwował wrażenie, jakie jego słowa wywołały.

Wrażenie to było okropne, nikt nie mógł słowa przemówić.

Michał więc czuł się w obowiązku mówienia dalej:

— A, byłbym zapomniiał... baron za dwadzieścia lat usług, dał stróżowi całego guldena.

— Marnotrawca! — szepnęła ciotka.

— Niech go dunder świśnie!—dodał konsyliarz.

Bezik u mojej ciotki już od tego fatalnego dnia nie istniał.

Ciotka nawet zasłabła i przeleżała kilka dni w łóżku.

Gdy wstała, wezwała na walną naradę konsyliarza, który znów wystąpił z propozycją bezikowicza „od akcyzy“.

Ale ciotka nie chciała już słyszeć o nowych znajomościach.

— Mój konsyliarzu—mówiła—na moje stare lata, dajże mi pokój! Tyle zmartwienia miałam z tym Fifim.

Bo baron został znowu Fifim.

Jednakże w rezultacie narady stanęło, że dalej się będą konsyliarz z sędzią zbierali u ciotki i grali w „preferansa z dziadkiem“.

Tak się też stało.

Ale preferans nie zastąpił bezika.

Ciotka nieraz poziewała, a sędzia na smutną nutę nucił:

— Hahaha...

Ale co mieli robić? jakże zerwać z przeszłością? Pocieszali się czasem, że dezerterzy wrócą.

— Wrócą oni! wrócą! — mawiał Michał i dodawał wiele otuchy ciotce.

Raz wreszcie już po skończonym preferansie, zabierali się do rozejścia.

Wtem dzwonek zadźwięczał cicho i dyskretnie.

Ciotka która od ostatnich wypadków dużo straciła na humorze, zamruczała tylko.

— Co też to być może?

— Maruder jakiś—bąknął konsyliarz.

Słuchali.

W przedpokoju ktoś szeptał, a Michał jakby się witał.

Kroki jakieś zmierzały do pokoju.

Kosyliarz się do drzwi z krzesłem odwrócił, a ciotka głowę z za stolika wysunęła.

Przed nimi stanął pułkownik, blady, wymizowany, wychudzony, zdyszany i w ubraniu bardzo zaniedbany.

Ciotka się rozplakała.

— Ratujcie!—zawołał pułkownik zachrypniętym głosem—baron umiera!

Wszyscy się zerwali.

— Co? na Boga! co?

Pułkownik mówił:

-- Zachorował w Moguncyi... ledwie go wczoraj dowiozłem...

— Ale zkąd?

— Z Paryża!

— Gdzież jest?

— Stoimy w hotelu Pollera... bardzo źle... ratujcie.

Czemprowadził wszyscy się zabrali. Ciotka, płacząc, zarzucała na siebie pelerynkę, wzięła haftowaną torebkę i ruszyli.

Poszedł i Michał.

W drodze ciotka porzuciła ramię konsyliarza, bo szedł zawolno; kazała się prowadzić sędziemu.

Konsyliarz badał pułkownika. Ten zdyszany opowiadał.

— Ta Adela Schippenberg, to stary grat, jak jenerała kocham, a chce jej się młodzika... Bo może nie wiecie, że sobie ubrdła, iż baron ma trzydzieści lat i... bogaty... Szelma Niemka... Myślałem, że mi on w drodze zamrze i słowo jeneralskie... wierzaj mi... gdyby nie mój zegarek od jenerała „*virtuti militari*“...

Pułkownik urwał, bo mu dwie duże łzy spłynęły po policzkach i dalej ciągnął:

— Tobyśmy gdzieś przez obce ziemie o żebranym chlebie do kraju powrócili...

Konsyliarz milczał, a pułkownik po dość długiej przerwie dalej mówił:

-- Nie zazналиśmy nigdy takiej biedy, jak jenerała kocham, i wyobraź sobie konsyliarz, że z Paryża pisał, błagał, zaklinał baron swą siostrę, aby mu na powrót do kraju przysłała. Wiesz waćpan co odpisała? Odpisała, że ten kto miał za co dojechać, powinien mieć i na powrót. A szelma! Teraz dopiero się dowiedziałem: oni skrzywdzili biednego barona, wzięli mu trzydzieści tysięcy, i od tego wypłacają cztery procent, jak w Berlinie; słyszysz konsyliarz? To rodzina, o której tyle prawił, z której się szczycił. Panowie! hultaj! psubraty!

Pułkownik ustał, a konsyliarz również wzruszony i przygnębiony wyszeptał:

— Niech ich dunder świśnie!

Stanęli przed hotelem i pośpiesznie zmierzali za pułkownikiem, który ich wyprzedził.

W małym pokoiku na parterze dogorywał baron.

Leżał na pryczy, a przy nim paliła się żółtawa świeca, jak przy umarłych.

Gdy wszyscy weszli, otworzył powieki i zabłysły błędne oczy równocześnie z westchnieniem.

Ciotka usiadła przy nim.

— Dobrodziejko—wyszeptał—przepraszam...

Ciotka szlochała.

Baron usiłował się podnieść na twardej poduszce, ale już nie miał siły.

Uśmiechnął się tylko i oczami potoczył po wszystkich.



Chwilę uroczystą przerywał tylko cichy płacz ciotki.

Wyjęła z torebki książkę do nabożeństwa i cicho zaczęła szeptać modlitwy przy konających.

Baron spojrzał na nią dziękczynnie.

Inni stali przygnębieni z zakrytymi twarzami.

Wreszcie dało się słyszeć głębokie, przerażające westchnienie.

Baron nie żył.

Konsyliarz zaszlochał i natychmiast rozległ się jeneralny płacz w izdebce.

Płakał i sędzia jak bóbr.

A pułkownikowi łzy spadały jak grochy.

Ciotka zajęła się pogrzebem, odprowadziła zwłoki przyjaciela na cmentarz, obstałowała mu nagrobek i sama się położyła do łóżka, aby już nigdy z niego nie wstać.

Przeziębła się po zmęczeniu i dostała zapalenia płuc, z którego po długiej chorobie umarła.

A pułkownik, konsyliarz i sędzia, czasem się spotykają jeszcze na plantacyach. Wzdychając gwarzą o baronie i beziku u panny Rapalskiej, około którego niejako wszystkie ich wspomnienia się skupiają.

K O N I E C.



# MÓJ REZYDENT.

---



## I.



roku 1848, rozpanoszyła się między rolnikami taka bieda, że nie było obywatela w Królestwie, któryby nie uciekał się do pożyczki.

Mieszkałem wówczas w Proszowskiem i byłem właścicielem folwarku, leżącego między Koszycami a Proszowicami, zwanego Napastkowice.

Wogóle „i e“ były ulubionemi końcówkami naszych przodków, którzy ziemię proszowską chrzcili.

W najbliższej mnie okolicy, znajdowały się Majkowice, Czajęczyce, Pławowice, Ostrowice, Dyrdewice, same „wice“, „nice“ i „szyce“.

Pomimo, iż Napastkowice dawały po dwanaście proszowskich kóp z morgi pszenicy, dwa razy żyzniejszej, na wiosnę roku wspomnianego, nie miałem czem dokonać zasiewów.

Do różnych klęsk dołączyła się i ta, że brat mój finansowo zniszczony został i całą rodzinę zostawił na słomie.

Ale dawniej, to nie dzisiaj. Pieniądz był łatwiejszy. Szlachcic-obywatel zawsze jeszcze był uprzywile-

jowanym człowiekiem. Będąc bardzo młodym i od niedawna gospodarując, nie wiedziałem o ówczesnej łatwości dania sobie rady—i z wątpliwy zupełnie, udałem się do mego poczciwego proboszcza, nieboszczyka księdza Cypryana.

Przed nim wyspowiadałem moje żale wszystkie.

— Mój kochany—odparł proboszcz—nie masz się czego frasować. Znać jesteś niedoświadczony, *ergo* głowy do góry nie nosisz. Kto dzisiaj w okolicy ma zboże na zasiew i fundusz na ciężary do wiosny? chyba pan Feliks...

Wytrzeszczyłem zdziwione oczy, a ksiądz mówił dalej:

— *Ergo* nie frasuj się... ten z Majkowic sprzedał nawet owies, bo zgrał się w Kielcach, a pan Hamilkar przekarnawałował wszystko co do ździebełka w Warszawie... Albo hrabia z Płaskowic: mówią żydki, że wrócił z jednym rublem z Paryża, a w domu nie zastał kłaka siana dla cugowców. *Ergo*... i kwita.

— Ale co robić?—zapytałem—oni oddawna osiedleni, oddawna zagospodarowani, a ja?..

— Co to waćpan sobie głowę zawracasz, ot lepiej udaj się do Szmula w Koszycach, a on ci wszystko wynajdzie. Kredyt masz większy niż baron z Dyrdevic i o cóż ci chodzi? Gdzie woda była, tam woda będzie! *ergo* byłeś panem i będziesz panem. Tak waćpanu mówi napastkowicki proboszcz, *ergo* tak będzie i kwita! Co ja już takich jak u waćpana, długich nosów widziałem! Ha! ha... po 1812... ha... ha... ha... proszę było

widzieć! Pies się nie wylize, a szlachcic się wylize!  
*Ergo* jedź do Koszyc i poradź się Szmula.

Słuchałem pocieszających słów proboszcza, który różne dawał mi projekta, prowadzące do dostania gotówki.

Nabierałem otuchy, wiedząc że mam kawałek lasu pod Majkowicami, zdatnego do sprzedaży, wełnę czerwcową, pszenicę i łąkę z pod Dalechowic, jeśli bym nie mógł zaciągnąć pożyczki.

Nagle ksiądz jeszcze wystąpił z planem.

— Wiesz waćpan co? mówili mi żydki z Proszowic, że ten Feliks z Czajęczyce tutejszym żydkom robi *balanse* i wypożycza sumki na procenta.

— Czyż być może? Pan Feliks, obywatel?

— *Ergo...* tak mówią. Daje nawet taniej, niż żydy z Koszyc i Proszowic. Dalibóg tak mówią. To skuczna panie! Ktoby to wierzył! Taki młody człowiek i obywatel... Czajęczyce małe ale dobre, do tego przystojny i *bene natus* i... *colligatus* mówią; bo jak waćpan wiesz zapewne, babka hrabiego z Dalechowic, to była rodzeniuteńką prabaki pana Feliksa, jakąś starościanką, dalibóg... *ergo...* i ten wypożycza na procenciki i zastawy i ciuła, i jak odludek żyje. Wystaw sobie waćpan, ostatniej niedzieli to się już wziąłem, aby go sprowadzić tu na przekąskę i wódkę, a i tak mi czmychnął. Odludek *ergo* i musi mieć jakąś kardynalną wadę... procentnik i kwita... Jedź waćpan do Koszyc i spytaj się o starego Szmula, a za sukces ci ręczę; ot już zaraz słońce ma się ku zachodowi. Gdy zajedziesz,

będzie i po szabasie. Tylko nie daj się zedrzeć. Dwa od sta miesięcznie, to praktykowany u nas procent. *Ergo* czekam jutro waćpana w nocy na plebanii i spodziewam się miny gęstej... *Ergo* do widzenia i kwita!

Prosto też od proboszcza, udałem się do Koszyc. Spieszno mi bowiem było, bo ziemia dziwnie mi prędko obsychała, a nie miałem zasiewów i ani dziesięciorublówki w kasie napastkowickiej.

W Koszycach prędko odszukałem starego Szmula, który był miejscowym rabinem i ogromnej w miasteczku używał powagi. Gdy wszedłem do izby będącej jego mieszkaniem, zastałem starego żyda siedzącego przy stole nad ogromną księgą i odmawiającego pacierze.

Dokoła niego stała rodzina, złożona ze starej żony i kilku córek.

Szumul niewstając powitał mnie skinieniem głowy, wskazując stołek, na którym usiadłem i dalej głośniejsze jeszcze szeptał żydowskie modlitwy.

Żona zaś jego poinformowała mnie, że jej mąż jest wielkim hussytą i jakkolwiek słońce już zaszło, jeszcze szabasu za skończony nie uważa.

— A kiedyż się skończy?—zapytałem.

— Gdy się ściemni—odparła żydówka— ale pan możesz mówić... mąż wisłucha...

Zauważyłem wielkie nadskakiwanie mi ze strony całej rodziny i zacząłem też zaraz o interesie.

Szumul słuchał i mruczał pacierze, a ja opowiadałem. Co chwila jednak podniesionym głosem milczenie swoje przerywał, trzema wykrzyknikami.



— *Gewalt, gewalt, gewalt!*

Zrazu, nierozumiejąc tego, nie zważałem; lecz gdy Szmul coraz częściej i coraz głośniejszy mi przerywał swoim: *gewalt, gewalt, gewalt!* — zapytałem żony jego, co by to znaczyło.

— To nic — odparła stara żydowica, może pan dalej mówić.

— Czy chory może, albo co? — wykrzyknąłem przerażony, gdyż Szmul *gewalt* wołał coraz częściej.

— To nic, niech pan nie uważa—dodała żona rabina—on taki hussyt; jego tak w środku boli, że przed końcem szabasu pan o interesach mówi, ale on słucha... Niech pan dalej mówi.

Mówiłem też, a Szmul mruzczał i jakby trapiiony bólem wewnętrznym, powtarzał: *gewalt, gewalt, gewalt!* Wreszcie znikły ostatnie złote odbłyski zaszłego już za góry słońca i Szmul zamknął księgę, mruczenie urwał i pełen radości mnie przywitał.

Był to typowy żyd. Mógł liczyć lat sześćdziesiąt, a rumiana twarz z siwą, śpiczastą brodą, miała w sobie dużo charakteru i przypominała bohatera Szekspira.

Zamykając księgę, tak się odezwał:

— Ja teraz nie mam gotówki, ale pan łatwo dostanie. Jaśnie pana znają po okolicy, jako porządnego obywatela i jaśnie pana. Pojedziemy do Czajęczyce...

— Do pana Feliksa?—podchwyciłem.

— Niech się jasny pan nie obraża. Pan Feliks z Czajęczyce jest *fein puryc*, a mówił mi że ma go-

tówkę i chce tylko pewności. Un jaśnie panu da, co sam jaśnie pan będzie sobie chcieć...

Wziąłem starego Szmula na wózek i kazałem jechać do Czajęcyc.

W Proszowskiem wioska od wioski leży niedaleko, to też jeszcze zupełna noc nie zapadła, gdyśmy mijali granicę Czajęcyc.

---

## II.

Tu także było pusto. Ówierć pokoju zakryte było starym kitajkowym parawanem.

Do niego zaraz obrócił się Szmul i tak zaczął:

— Ny, jaśnie panie...

— Co to za napad? — odezwał się głos z za parawanu.

Rozejrzałem się i spostrzegłem ze zdziwieniem, że ponad parawanem wystawał czub, a z pod spodu buty jakiegoś bruneta. Do niego to przemawiał dalej Szmul:

— Ny, to żaden napad...

— Rozbój! drzwi wywalone — zawołał głos z za parawanu.

— Ny, jaśnie panie — podchwycił Szmul — to żadne rozbójniki, to ja... Szmul z Koszyc i jasny pan z Napastkowic. Niech jasny pan wyjdzie.

Na te słowa z za parawanu wysunęła się wysoka i chuda postać trzydziestoletniego mężczyzny.

Był to pan Feliks.

Jakkolwiek byłem bardzo źle usposobiony do tego mojego dziwaczego sąsiada, zauważyłem, że pan na Czajęczycach lepiej się przedstawia, niż go sobie wyobrażałem.

Był to brunet o przydługiej, ale sympatycznej twarzy, której cera zdradzała żółciowe usposobienie. Mały, czarny wąsik zdobił jego górną wargę, a ubranie odznaczało się pewną starannością, czyniącą śmieszne wrażenie w pustkach, jakimi był otoczony.

Zażenowany, przywitał się ze mną i zaprosił mnie i Szmula do dalszych pokoi, mówiąc do mnie najnaturalniej.

— Tak mnie żydy nachodzą, że zamykam się przed nimi i chowam za ten parawan, gdzie udaję mojego lokaja, którego nie mam.

W kancelaryi pana Feliksa zdziwiony zostałem pewnym komfortem.

Stół zavalony był książkami, między którymi zauważyłem poezye Goetego, filozofię Kanta i inne dzieła.

Pan Feliks, ten osławiony sknera, odludek i lichwiarz, czytał—czytał widocznie dużo, i to w czasach kiedy szlachta po wsiach jeszcze prawie nic nie czytała.

Zaraz tak zaczął:

— Cóż za interes pana przyprowadza do Czajęczyc? bo domyślał się...

Szumł za mnie podchwycił:

— Ny, jasnie panie. Powiedział mi jasny pan, że chce tylko pewności. Szumł wyszukał tak, że już lepiej być nie może. Jasny pan z Napastkowice potrzebuje dziesięć tysięcy. Pewność jest, Szumł mądry... Co jasny pan powie na to? Pożyczyć takiemu panu, to aż miło... a... a ..

Żyd cmoknął językiem i uśmiechnął się.

Pan Feliks zaś po dobrej chwili namysłu, spokojnie i naturalnie, tak odparł zwracając się do mnie.

— Dziwi zapewne pana, że pożyczam na procenta, ale ja nie jestem wcale gospodarzem. Wychowałem się w Niemczech i na roli nic a nic się nie rozumiem. Co więc zaoszczędzę i co mam, to pragnąłbym tak ulokować, aby w danym razie módz z procentu żyć, gdy mi Czajęczyce nic nie dadzą.

W odpowiedzi przedstawiłem panu Feliksowi bliższe szczegóły żądanej pożyczki, poczem tenże zwrócił się do żyda i zapytał:

— A Szumł poręczy za pana?

Żyd aż podskoczył.

— Ny, ja mam ręczyć za jasne pana z Napastkowice? Co pan za figle stroi? Ja mam ręczyć? ja biedny Szumł z Borzyce za jasne pana z Napastkowice? ny... ny...

— Inaczej nie pożyczę! — odparł sucho i lakonicznie pan Feliks.

Po długim milczeniu wywołanem tą propozycją, żyd zapytał:

— Ny... niech mi jasny pan powie, co to ma za znaczenie poręczenie Szmula?

— Widzisz mój Szmulu — odparł pan Feliks—ja po procenta jeździć nie będę, gdy mi który z panów nie zapłaci, a z ciebie bebechy wyciągnę. Ot, wczoraj pożyczyłem hrabiemu z Płazkovic, ale poręczył Moško z Proszowic.

— Un poręczył?—zapytał Szmul.

W odpowiedzi pan Feliks wyjął ze stolika pugilares, z niego kwit i tenże pokazał żydowi.

— *Gewalt! gewalt! gewalt!*—westchnął żyd i zamyslił się. Wreszcie zawołał:

— Ny!—mruknął żyd, a odwracając się do mnie, podczas gdy pan Feliks już otwierał biurko, dodał cicho:

— Nu, taki waryat! Co jemu w głowie! *gewalt! gewalt!*

W kilka minut potem, pieniądze już były w mojej kieszeni, a mój rewers z podpisem Szmula i z zobowiązaniem płacenia dwanaście procent rocznie od wypożyczonej sumy, znajdował się między innymi kwitami, których było nie mało w biurku pana Feliksa.

Uradowany nadzwyczajnem powodzeniem i pożyczką na korzystniejszych warunkach, niż się wówczas praktykowało, żegnając się z p. Feliksem, wyraziłem mu moje życzenie, aby mnie zechciał uważać nie tylko za dłużnika, lecz też za gościnnego i życzliwego mu sąsiada.

Pan Feliks w odpowiedzi odparł:

— A przyjadę kiedy do pana. Słyszałem, że pan masz ładną bibliotekę. Ja bardzo lubię czytać... przyjadę, skorzystam z łaskawego zaproszenia.

Gdyśmy wsiedli na bryczkę, żyd zaraz mnie zapytał:

— Co un gadał, co lubi?

— Bibliotekę.

— Ny, co takiego?

— Książki... czytanie... — objaśniałem rabina z Borzyc.

Nad tym gustem pana Feliksa bardzo się Szmul zamyslił i wreszcie zawołał:

— Ny, ja teraz wiem zkąd un taki mądry, un w tych książkach nabrał taki rozum.

— Jaki rozum? mój Szmulu!

— Ny! jasny panie, tylko przez obrazy, albo un głupi?

— Nie wiem.

— Ny... tylko przez obrazy, jasny panie. Jasny pan pożyczka, *gewalt!* brabia z Płaszkwic pożyczka... ny... a un nie pożyczka, tylko jeszcze kredytuje. I to nie rozum? Niech jasny pan sam powie... Co un ma kwitów! Widział jasny pan, co un ma rewersów! *Gewalt! gewalt!* Co jemu porządki tam w około pobudynków? Un ma porządki w kieszeni.

Żyd gadał aż do Borzyc.

Tak poznałem pana Feliksa z Czajęcyc, a nie przypuszczałem wtedy, by poznanie to mogło mieć dalsze skutki. Sądziłem, że sprzedawszy w czerwcu

welnę, zaspokoję dług ten i więcej widzieć nie będę Czajęcyc i procentownika.

Jakkolwiek wydał mi się pan Feliks wcale człowiekiem do rzeczy, obytym i uczonym, źle do niego byłem usposobiony.

W owych czasach bowiem, obywatel żyjący jak raróg, sknera, nie hulaka, nie kopiarz i nie jarmarkowicz, najgorszej używał opinii.

---

### III.

Niezadługo po tem poznaniu się, pan Feliks przyjechał do Napastkowic i podczas tej wizyty rozwinął takie rzadkie na wsi zalety towarzyskie, iż nie puściliśmy go, aż na trzeci dzień.

Moja żona zachodziła w głowę, dlaczego tak miły i wykształcony człowiek, stroni od ludzi i towarzystwa. Pan Feliks bowiem wszystko widział, wszystko znał. A o wszystkim mówił z jemu tylko właściwą filozofią, na wszystko zapatrywał się z bezstronnego zupełnie stanowiska. I to właśnie, to wykluczenie wszelkiego „ja“ w rozmowie pana Feliksa, było wielkim jej urokiem. Na pamięć znał Goethego, Schillera, Racina, Musseta, Mickiewicza; cytował nawet ustępy, jak z książki, Heinego i Kanta. A robił to wszystko tak spokojnie, jak gdyby nie domyślał się nawet, iż jego erudycya jest wyjątkową i zadziwiającą.

Niedość na tem, grał nadto znakomicie na fortepianie, rysował z natury jak artysta, a z kawałka kredy w ciągu godziny, wychodziła z pod rąk jego śliczna figurka lub biuścik.

A wyglądał bardzo zdziwiony, gdy nas te zdolności jego zachwycaly. To też stosunki nasze stawały się coraz częstszymi i serdeczniejszymi. Bywał u nas i przesiadywał po kilka dni, nie zawadzając nikomu; bo albo spędzał czas w bibliotece, albo nas pouczał o wszystkim, czego tknąć było i to bez cienia zarozumiałości.

O sobie jednak nigdy nie mówił, to też nie wiedzieliśmy o jego przeszłości, której nikt nie znał; bo pan Feliks od niedawna osiadł był w Czajęczycach, odziedziczywszy je po jakiejś babce, mieszkającej w Krakowie.

Wyjąwszy nas, nie bywał u nikogo, nawet u hrabiego z Dalechowic, którego babka, starościanka pinchowska czy buska, była siostrą jego prababki.

Ta okoliczność też bardzo zastanawiała naszego proboszcza. Zawsze nam mówił, widząc rosnącą zażyłość między nami a panem Feliksem:

-- Jakto? nie bywa w Dalechowicach u koligata w trzeciej czy czwartej generacyi. .? Mówię wam *ergo*, to podejrzana jakaś figura; pożyczka na procenci... no, mówię wam *ergo*... miejcie się na baczności. Przecież, gdyby był porządny człowiek, toby bywał co niedziela w kościele i na plebanii, tak jak całe obywatelstwo... *Ergo* ja go nie mam za szlachcica... muszę pomóc o tem z hrabią z Dalechowic.



Czas upływał, proboszcz nie mówił z hrabią, bo zawsze zapominał, czy coś mu przeszkadzało; pan Feliks coraz częściej bywał w Napastkowicach.

W końcu tak przywykliśmy do niego, że gdy jaki tydzień o nas zapomniał, to moja żona słała zaraz do Czajęczyc z zaproszeniem na obiad czy herbatę.

A pan Feliks nigdy nie odmawiał, bo w domu miał fatalną kuchnię, którą zaledwie można się było obronić od głodu.

Że zaś nigdy o sobie ani o Czajęczycach, ani o swoich intoresach nie mówił, z żadną też radą ani uwagą nikt z nas nie występował.

„Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi“ — mówi przysłowie—ale o panu Feliksie nic nie wiedziałem, prócz tego, iż gospodarka rolna fatalnie u niego szła; że wszystko w polu późno i źle robiono, bo to z gumna mojego niemal widziałem. Ale pan Feliks nie narzekał, a o gospodarstwie nigdy nie mówił.

Szum zaś donosił mi wciąż o nowych pożyczkach, jakich za jego pośrednictwem udzielał różnym bliższym i dalszym sąsiadom.

— Kawaler — myślałem — sam jeden, skąpy, na dużym majątku, choć źle gospodaruje, to jeszcze ciuła.

Wreszcie nadeszła jesień i razem z nią termin, naznaczony do zwrotu dziesięciu tysięcy panu Feliksowi.

Uzbierawszy na oznaczony dzień, w rewersie określonej sumy, wybrałem się do pana Feliksa i zastałem go, jak zwykle z fajką i książką w ręku.

— Cóż kochany pan czytasz? — zapytałem.

— O! bardzo rzecz ciekawą! — odparł ze swą zwykłą flegmą pan Feliks, czytam o żydach „*Les bases du Talmud*” dzieło bardzo ciekawe. Z niego dopiero można poznać zasady tych łotrów!

Pan Feliks żydów nie lubił.

— Przybyłem uiszczyć się z długu kochanemu panu.

— Jakto? — podchwycił widocznie przerażony pan Feliks — oddajesz pan?

— A jakże?

— Myślałem—mówił pan Feliks—że pan dłużej zatrzymasz. Ja teraz nie potrzebuję. A mówiłeś mi pan, że masz tyle wydatków. Owczarnię chcesz stawiać i masz zamiar wołów dokupić... Może procent wydaje się panu zawysokim, to ja opuszczę, ale proszę sumę zatrzymać, jeżeli dogadza...

Niezmiernie uradowany propozycją pana Feliksa, bo rzeczywiście wówczas miałem rozliczne potrzeby, podziękowałem mu serdecznie i na zatrzymanie pożyczki się zgodziłem.

Gdyśmy co do zmniejszonej stopy procentowej się umówili, pan Feliks jeszcze zagadnął:

— Przepraszam, że się do cudzych interesów nieproszony, mięszam; ale dowiedziałem się, iż pan masz tego roku spłacić z Napastkowic brata...?

Głową kiwnąłem, a on dalej ciągnął:

— Otóż ja mam jeszcze dwadzieścia tysięcy co leżą i nie procentują. Jeśli pan potrzebujesz, to na tych samych warunkach mu pożyczę.

Oszołomiony tą propozycją, bardzo mi dogadzającą, milczałem; a pan Feliks, nie czekając mojej odpowiedzi, wstał, poszedł do biurka i wyjął ze skrytki, w niem się znajdującej trzy tysiące rubli, które przedemną położył, mówiąc:

— Procent będziesz mi pan płacił z góry, a rewers osobisty wystawisz na rok... tak?

— Ależ na Boga! — zawołałem nagle, przypominając sobie rabina—przecież nie wiem, czy na taką sumę zechce poręczyć Szmul?

Pan Feliks uśmiechnął się filuternie i dodał:

— Nie potrzeba! wystarczy mi pański podpis. Proszę tylko aby nikt o tem nie wiedział. Gotowi mnie mieć za jakiego kapitalistę. I tak ten Szmul zwozi mi całe Proszowskie.

Interes zaraz został zawarty, kwity tegoż samego dnia zmienione, a pieniądze wypłacone.

Nagle, pan Feliks, jakby sobie coś przypominając, zawołał:

— Ale, byłbym zapomniał! W procencie nadto będzie mi wolno czasem wziąć do domu książkę z biblioteki napastkowickiej?

— Ależ całą, kochany panie Feliksie — zawołałem, ściskając go serdecznie i żegnając się z nim.

Spieszno mi było mi domu, aby podzielić się dobrą wiadomością z moją żoną.

Pożyczka pana Feliksa stawiała mnie w owym czasie na nogi i uwalniała od wielu strat, zapewniając pewniejszą materyalną przyszłość.

Napastkowice bowiem objąłem był z ciężarem i bardzo zniszczone długoletnią dzierżawą.

## IV.

Na drugi dzień wypadła niedziela. Nie pojechaliśmy do kościoła, bo było słotno na dworze i nadto i obmyślałem, jakby najlepiej użyć pieniędzy, w których posiadaniu nadspodziewanie się znalazłem. Błogosławiłem w duszy poczciwego pana Feliksa, kalkulowałem, gdy w tem zaraz po południu usłyszałem naszego proboszcza, pytającego się w przedpokoju o mnie.

Wybiegłem naprzeciw plebana, który jakkolwiek zasapany! bo przyszedł piechotą, zaraz zaczął:

— *Ergo*, wiem wszystko, wiem! herezye mój kochany! heretyk!

— Kto? co? — zapytałem.

— *Ergo*, ten wasz pan Feliks! — odparł ciszej ksiądz—chodźmy do kancelaryi. Opowiem panu, aby nas nikt nin słyszał.

Przestraszony nieco, poprosiłem księdza do mego pokoju, a zamykając drzwi, zapytałem:

— No i cóż takiego?

— Słuchaj pan i uważaj—zaczął ksiądz siadając na sofie.—Wczoraj wieczorem wybrałem się do Dale-

chowic, bo w obec tej rosnącej zażyłości waszej z panem Feliksem, musiałem raz przecież dowiedzieć się, co to za jeden. *Ergo* tak...

— Słucham!

— Uważaj tylko waćpan! — ciągnął dalej ksiądz, przybierając tajemniczą minę — hrabia, gdym zapytał tylko o pana Feliksa, długo milczał.

— I nic nie powiedział?

— Pewnie nic, *ergo*, mówić nawet nie chciał. Ale wreszcie widząc że mi na jego zdaniu zależy, powiedział mi kilka rzeczy, które głęboko mnie zastanowiły i utwierdziły, *ergo* moje dawne hipotezy...

— Cóż takiego?

— Wystaw sobie pan, wychowywał się w Niemczech, na uniwersytecie był w Pradze. W Pradze! uważasz pan! Wyraźnie mi to powiedział hrabia. I był jednym z najpierwszych burszów. Burszów! uważasz pan?

Ksiądz miał minę coraz bardziej przerażoną, ale widząc, że wiadomości tych słuchał obojętnie, ciągnął dalej spokojniej:

— Toby była fraszka. Burszów widziałem raz w Dreźnie, gdym zwiedzał to miasto. Straszne, panie, figury, zawadyaki, zboreźniki; ale mniejsza o to... mógł się ustatkować. Ale...

-- Ale co?

— Uważaj pan. Hrabia tak wyraził się o panu Feliksie. Dosłownie panu powtarzam słowa jego, których nawet dobrze nie rozumiem, bo wyrwały się one hrabiemu. Tak się wyraził:

Z Feliksa byłby człowiek, ale cóż kiedy niestety ci nowożytni pisarze — nowożytni, powiedział — przewrócili mu w głowie. Idąc za zgubnym przykładem burszów zagranicznych, uwierzył w Kanta! Kanta...

Ksiądz urwał i wylupił przerażone oczy, a ja słuchałem, udając stosownie do okoliczności, powagę.

Aby coś powiedzieć, wtrąciłem:

— A tak, widziałem u niego dzieło Kanta „*Ueber philosophie ueberhaupt*“...

— Jakto? widziałeś pan?

— Widziałem.

— *Ergo* trwa w herezyi! — zakonkludował pleban. — Nie możecie się państwo z nim widywać, nigdy na to nie pozwolę.

Oślupiały słuchałem; proboszcz głęboko się zamyslił, po chwili nagle mnie zapytał:

— Cóż pan myślisz? Gdyby z ambony ostrzedz obywatelstwo i lud?...

— Przed kim?

— Przed tym heretykiem, który gotów zle szeryć.

— Jakie zle?

— *Ergo*, Kanta, na Boga żywego!

— Przecież Kanta dużo ludzi czyta.

— Ja nigdzie nigdy w żadnym obywatelskim domu go nie spotkałem — odparł sucho proboszcz.

Nastąpiło znów milczenie, które przerwałem pytaniem:

— Cóż hrabia więcej powiedział?

— Więcej? nic! *Ergo* to nie dosyć! Powiedział,

że „uwierzył w Kanta“. To waćpan chyba nie rozumiesz doniosłości tego powiedzenia?

— Ależ owszem...

— Toż to herezya! — podchwycił ksiądz—hrabia więcej powiedzieć nie mógł, ale i to aż nadto i zupełnie wystarczające do klątwy...

— Ależ kochany proboszczu!

Zacząłem obszernie tłumaczyć pana Feliksa księdzu Cypryanowi i już pewien, zdawało mi się, osiągałem skutek, bo proboszcz łagodniej zaczynał się na burszów i Kanta zapatrywać—gdy znów usłyszałem w przedpokoju hałas, spowodowany czyjś wejściem.

Poznaliśmy głos Szmula z Koszyc.

Otworzyłem drzwi i wpuściłem żyda do pokoju.

Szum był zadyszany, ocierał pot z czoła i upadł raczej, niż usiadł na krześle, które mu podałem.

— *Gewalt! gewalt!* — mówił widocznie czemś bardzo rozdrażniony i pilny mając interes do mnie.

— Cóż się stało? — zapytałem.

— Czy mogę mówić przy księdzu proboszczu?

— Proszę! można.

Żyd poprawił swój atlasowy chałat i czemprejdej zaczął tonem błagalnym:

— Ny! jasny panie! czy jasny pan oddał temu... z Czajęcyc, te pieniądze, bo wczoraj był termin.

— A jakże, naturalnie!—odparłem wyjmując rewers z podpisem Szmula i oddając mu go unieważniony.

Rabin głęboko odetchnął, jakby mu straszny ciężar spadł z piersi.

— Ny! to wielki los... ny! dziękuję jaśnie panu!  
*gewalt! gewalt!*

— Cóż się stało?—zawołaliśmy obaj z księdzem, widząc nienaturalny stan żyda i słysząc te wykrzykniki, które zawsze były złowieszcze.

— Co się stało? ny! co się stało? Co się stać miało? Szum, rabin z Koszyc zgłupiał, pozaręczał za różnych jasnych panów temu procentnikowi, temu złodziejowi z Czajęczyce...

Żyd się zapalał i mówił dalej:

— Proszę jasnych panów, czy to się godzi? czy to slychane? Czy to przystoi na obywatela i dziedzica, jaśnie pana, co un mi wczoraj zrobił? *gewalt! gewalt!*

— Kto?

— A ten z Czajęczyce, ten procentnik! un jest... bankrut!

— Co zrobił?

— Ny, co zrobił? Słuchajcie panowie i proszę sami osądzić, co un zrobił.

Tu żyd odpoczął i otarłszy czerwoną chustą pot z czoła, dalej opowiadał:

— Ny, co un zrobił? Tej wiosny pożyczył panu Hamilkarowi dziesięć tysięcy, a ja poręczyłem; co miałem robić? Tymczasem pan Hamilkar wyjechał, zboże sprzedał, wełnę sprzedał, nic nie zapłacił i procentu nie zapłacił. Ny, wielka rzecz. Wróci, to zapłaci! *gewalt! gewalt!*

Tu żyd odpoczął i tonem wzburzonym, głośniejszym, prędko dalej opowiadał:



— Wczoraj po południu, w szabas, psijeżdża do mnie ten... bankrut.

— Jakto bankrut?

— Ny! czekajcie panowie! un będzie bankrut! albo un zasieje porządnie? albo un ma woły czy ko-  
byłe? un musi zbankrutować.

— No więc co?

— Psijeżdża i jak zacznie ksiczeć, jak zacznie się rzucać po chałupie, jak zacznie brewerye wyprawać, strach pomyśleć, *gewalt! gewalt!* Zona w strach, dzieci w płacz. Całe Koszyce się zleciały pod dom, co takie hałasy u rabina. Aż tu szabas; ja byłbym wyjął perły mojej żony i jemu oddał, ale był szabas. *Gewalt!*

— Cóż Szmul zrobił?

— Ny? co ja miał zrobić? ja krzyczał *gewalt*, aż mnie gardło boli, ja dobrze że nie umarł, ja... *Gewalt! gewalt!*

— No i cóż dalej?

— Co ma być dalej! Właśnie gdy już szabas miał się kończyć, wsiadł na swoją bryczkę i pojechał do Czajęczyce. Un mnie zabije!

— Heretyk! — wtrącił proboszcz obracając się do muie. — Uważasz pan? filozofia Kanta, świąt nie uszanować, choćby obcych wyznań!

— Heretyk! heretyk! *gewalt! gewalt!* — powtarzał żyd, jeszcze cały się trzęsąc na wspomnienie wczorajszego szabasu.

— Un trzy godziny siedział wczoraj w moja chałupa w Koszyce; un... bankrut! un mówi... tak...

Obrócił się do mnie i dodał:

— Bogu dzięki, że jasny pan oddał te pieniądze.  
Un by mnie zabił.

W tem zaturkutało na podwórzu.

Wyrzałem przez okno i zawołałem poznając bryczkę z Czajęcyc.

— Pan Feliks jedzie!

— Gwałtu! — zawołał ksiądz zrywając się z kanapy.

— Un jedzie?!—zawołał Szmul wyzierając do okna. Gdy zobaczył, że rzeczywiście pan Feliks pod ganek podjeżdża, wybiegł drzwiami od sionki, wołając:

— *Gewalt!* un jedzie po procent! *gewalt! gewalt!* ja nie chcę go widzieć, *gewalt!*

Jeszcze pan Feliks nie wysiadł z bryczki, gdy już dawno w pokoju nie było ani mojego poczciwego proboszcza, ani Szmula.

## V.

Od tego czasu pan Feliks bardzo często u nas bywał i po kilka dni przesiadywał.

Człowiek ten coraz więcej zyskiwał naszą sympatyę.

W Napastkowicach był on najmiłszym gościem, a wykształcenie jego wszechstronne, czyniło go bardzo przyjemnym towarzyszem.

Bliskie moje stosunki z panem Feliksem, naraziły mnie sąsiedztwu. Niejeden się krzywił, a pojęcia nie miałem o co im chodziło.

Pan Feliks bowiem żadnych stosunków zawiązywać nie chciał.

Nazywano go lichwiarzem, heretykiem; Bóg wie co na niego nie wymyślano.

A on po prostu robił wrażenie człowieka źle uprzedzonego do ludzi, lecz spokojnego ascetyka.

Nie było rzeczy, któraby zdołała go rozdrażnić, lub wyprowadzić z granic właściwego mu spokoju.

Straty, na jakie często przy swem gospodarstwie w Czajęczycach był narażony, przyjmował z najzwyklejszą krwią.

A tak mało potrzebował, iż nie dziwiłem się, że do pieniędzy nie przywiązywał wartości, skoro ich z Czajęcyc nie wyciągał.

— Z torbami wyjdę z tej fortuny, z torbami!...— szeptał czasem. Oto wszystko.

To też zachodziłem w głowę, czego się Szmul tak strasznie bał pana Feliksa.

Bo stosunki ich dalej trwały. Szmul bowiem nie mógł się być wycofać z poręczonych przez siebie pożyczek.

Ile razy też ze starym rabinem zgadało się o panu Feliksie, to wzdychał głęboko, czerwieniał i szeptał:

— *Gewalt! gewalt!* co to za człowiek, co za człowiek!

Więcej nic mówić nie chciał i mimo najusilniejszych mych nalegań, aby się czegoś o moim wierzy-

cielu dowiedzieć, nie więcej nigdy z żyda nie wydo-  
byłem.

Jakaś tajemnica istniała—wnioskowałem z tego zachowania się Szmula — między nim a panem Feliksem, i ta tajemnica rzucała niejasne cienie na niezrozumiałą postać uczonego dziedzica Czajęczyca.

Uczonego, mówię, bo nie zdarzyło mi się spotkać człowieka tak chciwego wiedzy i tak encyklopedycznie wykształconego, jak pan Feliks.

Wszystko znał i wiedział, a gdy przypadkiem natrafił na jakąś kwestyę niejasną, póty ją badał, póki sobie nie wyrobił jasnego o niej pojęcia.

Stąd ciągle był zajęty naukowem studyowaniem jakiegoś przedmiotu.

Pamiętam, iż raz trzy miesiące o niczem innem nie myślał, tylko o przyczynach powodujących robaczki, zjadające w pewnych latach strączki rzepaku.

A raz zastałem go w nocy otoczonego psami, które posprowadzał z całej wsi.

— Cóż pan robisz?—zawołałem.

— Ej nic — odparł ze swą zwykłą flegmą—wystaw pan sobie, od trzech tygodni dniem i nocą obserwuję te stworzenia i jeszcze dociec nie mogę, dlaczego one w nocy szczerkają.

— Bo psy! — odparłem.

— No dobrze—podchwycił pan Feliks—ale wytłomacz pan, dlaczego są noce w których psy nie szczerkają, a inne w których szczerkać nie przestają?...

Naturalnie, że mu tego nie wytłomaczyłem, a on

zaś tak długo tę kwestyę studyował, póki i o niej zdania sobie nie wytworzył.

Tak mijały miesiące, jedno po drugim.

Męczyłem się wówczas o dokupienie wioski, graniczącej z Napastkowicami, a jaką za bezcen nabyć było można.

Różne wymyślałem kombinacye, ale nie prowadziły one do rezultatu, bo potrzebnej gotówki ani w polowie dostać nie mogłem.

Pan Feliks wiedział o moim projekcie, ale z przyjściem mi w pomoc się nie ofiarowywał. Twierdził bowiem, że nie mógł swych sumek odebrać, a u mnie ich ulokować.

Właściwie interes ten się toczył, bo próbowałem wszelkich sposobów aby zaokrąglić fortunę, gdy wpadł do mnie Szmul, i zaraz od drzwi zawołał:

— Wi jasny pan, co się stało?

— Co?

— Ny, nie wi jasny pan?

— Nie wiem.

— Ny, jak to być może?

— No, gadaj u licha?

— Un sprzedał Czajęczyce!

Wiadomość ta i mnie zadziwiła, tem więcej, że pan Feliks nigdy się nie zdradził choćby z projektem sprzedaży swego majątku.

— To być nie może! — zawołałem.

— Jakto być nie może. Un sprzedał, wziął pieniądze, folwark oddał, przepisał rejentalnie, hipotecz-

nie! Un zmarnował! un wszystko zmarnuje. *Gewalt gewalt!*

— Ale cóż się Szmul tem tak martwi?

— A czego ja się nie mam martwić? *Gewalt!* Un się będzie teraz z tej okolicy wynosił, un będzie odbierał. *Gewalt! gewalt!* Un mnie teraz zabije. Un mnie zamęczy! Un mi zdrowie odejmie, żonę, dzieci! *Gewalt! gewalt!* Co ja robił, co ja robił, kiedy ja poręczał!

Desperacya żyda i mnie ogarnęła, bo w podobnej do niego znajdowałem się pozycyi.

Panu Feliksowi bowiem, pozostawałem wciąż wienien trzydzieści tysięcy złotych.

— Naturalnie — myślałem — sprzedawszy Czajęczyce, zechce odebrać i wyjechać.

Nie pocieszałem żyda, bo sam głęboko się zadumałem. Ta sprzedaż pana Feliksa wypadła najniefortunniej i to w chwili, gdy zciągałem co mogłem, na kupno graniczącej wioski.

Żyd jęczał i lamentował, a ja myślałem, co pocznę w obec prawdopodobnego żądania pana Feliksa, zwrotu sumy.

— Przepadł folwark! przepadło wszystko! — mruzczałem biegając po pokoju.

Serce mi bić przestało, gdy tegoż samego dnia jeszcze, zoczyłem bryczkę pana Feliksa wyjeżdżającą z mojego lasu.

Jechał do Napastkowic po pieniądze, nie ulegało wątpliwości.

Czekałem go tym razem z trwogą. Jedno jego słowo rozwiewało moje śmiałe projekta. Zrozumiałem wówczas po raz pierwszy, ową nienawiść trafiającą się u dłużników, do najuczciwszych wierzycieli, jeśli tak krzyżowali ich długo żywione plany i marzenia.

Zdecydowany na wszystko, na wyjęcie z biurka reszty całej gotowizny, przygotowanej na zadatkowanie folwarku, siedziałem na pół przytomny, gdy wszedł pan Feliks prosto do mej kancelaryi, co już było najfatalniejszym znakiem.

— Wiedz sąsiedzie! sprzedałem Czajęcycze! — zawołał zaraz on radośnie.

— Słyszałem — odparłem grobowym głosem.

Pan Feliks usiadł naprzeciw mnie i pomuskawszy swego wąsika, co także u niego było znakiem, że o interesie zamierza mówić, tak zaczął:

— Przyjeżdżam do pana z projektem, który już dawno ułożyłem i dla urzeczywistnienia go, czekałem tylko sprzedaży Czajęcycze.

Nie wątpiłem, że tym projektem będzie wyjazd jego za granicę, gdzie mu łatwiej przyjdzie szperanie po bibliotekach i badanie przeróżnych materyi.

— Słucham! — zawołałem wściekły.

Pan Feliks najnaturalniej tak dalej ciągnął:

— Tak mi tu u was zawsze było dobrze, takeście byli dla mnie serdeczni, gościnni, życzliwi, że pragnąłbym całe życie z wami spędzić.

Przedmowa ta, przy której nawet, zdawało mi się, udane łzy w oczach panu Feliksowi stanęły, nie rozczulała mnie, bo wiedziałem do czego zmierza.

— On mówił dalej, bałamucąc nieco moje oczekiwanie.

— Wiem, że się kręcisz teraz za pieniędzmi, chcąc dokupić ten kawał ziemi, który z folwarkiem graniczy. Nie wierzę jednak, aby ziemia kupiona za pożyczone pieniądze, mogła się rentować i to jeszcze przy wysokich procentach, jakie płacisz...

Przpuszczałem, że pan Feliks zechce mi odradzić dokup folwarku i milczałem. On zaś po niedługiej przerwie, bardzo zażenowany, tak kończył:

— Nie uwierzysz, jak też mnie wszystko co was obchodzi, interesuje i... — Ale po co bawić się we frazesa? Ot... zostało mi się ze sprzedaży Czajęcyc, po opłaceniu ciężarów sto tysięcy. Jeśli chcesz, to je weź, zahipotekujesz mi je gdzie zechcesz. Procent od całkowitej sumy ci zmniejszę na pięć od sta; w dodatku dacie mi gościnę, bo u was zamieszkać...

Tak byłem pomięszany, rozczulony, że żadnego słowa odpowiedzi na języku nie znajdowałem. Poczciwy pan Feliks widocznie wziął to za wahanie się z mej strony i dodał:

— Utrzymanie moje, wiesz, sofa w bibliotece i bryczka czasem do Koszyc, czy gdzie. Jestem filozof i o nic nie stoję, a wszystko znajduję dobrem.

Jeszcze milczałem, więc pan Feliks *nolens volens* musiał ciągnąć:

— Masz pan pożyczać na dziesięć i dwanaście — to lepiej weź te sto tysięcy z dobrodziejstwem inwentarza.



Rzuciłem się w objęcia pana Feliksa, który wdzięcznością moją więcej wyglądał rozczulony, niż ja jego dobrodziejstwem.

Tego samego dnia jeszcze sprowadził się do Napastkowic i zamieszkał, jak sobie tego życzył, w bibliotece.

---

## VI.

Jak zamieszkał w bibliotece, tak mieszkał w niej lat dziesięć.

I obopólnie byliśmy z siebie zadowoleni, a co do mnie, to tak do pana Feliksa przywykłem, iż uważałem go za członka rodziny, z którym się nigdy rozłączyć nie miałem.

Bądź co bądź, był on moim dobrodziejem. Czasy były dla rolnictwa pomyślne i dzięki jego kapitałikowi, powiększyłem majątek i powoli, przy dochodach rok w rok rosnących, wychodziłem z interesów.

Po dziesięciu latach ujrzałem się właścicielem dwóch pięknych wsi, na których tylko ciążyła suma pana Feliksa.

A i na ten dług znajdowało się w biurku kilkanaście listów zastawnych.

I byłyby one dłużej leżały spokojnie w kantorku, a pan Feliks dalej figurowałby na napastkowskiej hipotece, gdyby nie następujący wypadek:

Proboszcz, który był się zupełnie pogodził z panem Feliksem i tylko od czasu do czasu staczał z nim walne utarczki religijne, pewnego dnia pokłócił się z nim na dobre.

Poszło o „Voltairea“, którego pocziwy ksiądz nazywał „Woltajrem“.

Pana Feliksa do najwyższego stopnia oburzyło samo to przekręcanie nazwiska uwielbianego przezeń myśliciela i poety. To też nietylko że się rozsierdził, ale tak żywo wziął w obronę potępianego Voltaira, iż przyszło do formalnej dyskusyi, w której proboszcz został zacofańcem i obskurantem, a pan Feliks heretykiem i bluźniercą.

Na drugi dzień po tej kłótni zjawił się u nas bardzo rano nasz pleban i odbył długą konferencyę z moją żoną, wynikiem której sformowano żądanie, abym dzieła Voltaira z biblioteki usunął i spalił.

Jak mogłem najlepiej, starałem się wyjść z tej trudności, obiecując usunięcie książek, ale już pana Feliksa z księdzem nie pogodziłem. Ten ostatni, który prawie codzień do nas przychodził na partyjkę i konwersacyę, przestał bywać i tylko etykietałne składał w naszym domu wizyty.

Pan Feliks zaś ani chciał słyszeć o pogodzeniu się. Pod tym względem nie słuchał nawet zawezwań mej żony, pod której wpływem pozostawał.

— Mój drogi — mawiał mi, zaraz się zapalając, gdy o tem mówiono — nie być zdolnym zrozumieć Voltaira, nie znać go i tak się o nim wyrażać, to przechodzi granice możliwości, tego nie wolno!

— Ależ, kochany Feliksie—tłomaczyłem—jakże możesz mieć pretensye nawet, aby duchowny inne o Voltairze miał poglądy?

— Przecież duchowny powinien być człowiekiem.

— Jest nim!

— Nie! Człowiek co nie umie ze stanowiska filozoficznego przypatrzeć się Voltairowi, nie jest człowiekiem. Waszego księdza bardzo lubiłem, uważałem go nawet za wykształconego humanitarnie, ale daruj mi...

Tu pan Feliks urywał i kończył.

— Voltaira nazywać Woltajrem, *das geht nicht!*

W zapale bowiem przypominał on swoje studenckie czasy i niemieckich zwrotów używał. *Das geht nicht!*—powtarzał, podkrecając wąsika.

Nie było co robić. Ani plebana do Voltaira, ani pana Feliksa do plebana przekonać nie mogłem.

Rzeczy więc tak pozostały, ale już nie na długo.— Wkrótce bowiem po tej kłótni zamącającej harmonię między dworem a plebanią napastkowicką, zagadnęła mnie raz moja żona temi słowy:

— Mam do ciebie wielką prośbę.

— Jaką?

— Abyś oddał kapitał panu Feliksowi.

— Zkądże ci ta myśl przychodzi?—podchwyciłem zdziwiony — wszakże na kapitale tym zarabiamy rocznie kilka tysięcy, a Feliks nie żąda zwrotu.

— Wiem o tem — przerwała mi ze smutkiem żo-

na—ale widzisz, rzeczy tak się mają. Zosia dorasta... ludzie w okolicy, sąsiedzi, mówią że jesteśmy w kieszeni pana Feliksa... to może szkodzić naszemu dziecku... hipotekę trzeba oczyścić. Wszak i tak Napastkowie chcesz dać Zosi w posagu...

— Któż ci to mówik—zawołałem.

— Mówiono mi—odparła tylko moja żona;— suma pana Feliksa szkodzi nam, szkodzi.. Sądzą, że nie mamy na pokrycie tego długu.

— Ale kto?

— Cała okolica!

Nie było rady. Gdy sobie raz co kobieta wymyśli — przepadło. To też napróżno starałem się jej wytłumaczyć bezzasadność jej przypuszczeń, które ją skłaniały do gorącego życzenia, wyjścia ze stosunku dłużnika względem przyjaciela.

Nadto Feliks tak się do nas przywiązał, jak do własnej rodziny, której nie miał.

Był starym kawalerem i ożenić się nigdy nie myślał, a Zosię kochał jak własne dziecko.

Wszystko to kombinowałem w mej głowie i przeciwny byłem zrywaniu stosunków finansowych z panem Feliksem, któremu widocznie one dogadzały.

Przyparty jednak do muru, postanowiłem zadość uczynić nagle zrodzonemu gorącemu życzeniu mej żony.

W tym celu pewnego poranku zaszedłem do biblioteki i zastałem pana Feliksa jak zwykle nad książkami.

— Cóż robisz?—zapytałem.

— Ta twoja biblioteka jest nieocenioną — zawołał w odpowiedzi pan Feliks — wczoraj w nocy znalazłem w niej niezmiernie ciekawą książkę.

— Cóż takiego?

— „*Les secrets du Talmud*“ — odparł przyjaciel podając mi książkę — rzecz niesłychanie ważna.

— Cóż cię tak interesuje Talmud — podchwyciłem — bo przypominam sobie, iż dawniej jeszcze, gdyś mieszkał w Czajęczycach...

— A tak — przerwał pan Feliks — kwestyę tę dawno studyję, i nicby mnie tak nie bawiło jak sprawdzenie, o ile ci fanatycy są fanatykami, jak im ten autor wytyka. Twierdzi on naprzykład, że żyd husyt, jak my ich nazywamy, do tego stopnia posuwa fanatyzm, iż raczejby się dał zabić, niż zmusić do naruszenia szabasu.

— Być może — odparłem obojętnie i opowiedziałem mu wypadek ze Szmulem z Koszyc, który krzyczał jakby z bólu „*gewalt*“, gdym raz do niego w interesie przybył pod koniec szabasu.

Pana Feliksa moje opowiadanie bardzo zastanowiło i zadziwiło.

Milczał długo i ważył coś widocznie.

Po chwili oświadczyłem mu moje życzenie spłacenia jego sumy, ciężącej na mej wiosce.

Na pierwsze o tem słowa, pan Feliks zbladł i onie miał. Wytrzeszczywszy oczy, przypatrywał mi się długo z największym zdziwieniem i osłupieniem.

Wreszcie zagadnął:

— Wszakże na tej pożyczce nic nie tracisz?

— Nic... owszem, zarabiam, mój drogi.

Pan Feliks zrobił minę jeszcze bardziej zdziwioną i zamilkł.

Zaczął pokręcać wąsika i powoli przychodził do siebie.

— To pojedziemy kiedy do Kielc i odbiorę, skoro tak sobie życzysz—wybąknął po długim milczeniu.

Odbiór ten najwidoczniej był mu wysoce przykrym. To też motywując moje postanowienie pragnieniem uporządkowania interesów i przykrością trzymywania w domu gotówki przeznaczonej na spłacenie tej sumy, dodałem:

— Zrobisz nawet na tem dobry interes, bo umieścisz gdzieindziej niezawodnie na lepszych warunkach.

Pan Feliks tak się na mnie spojrzał, iż nie wiem sam dla czego zawstydzilem się i zamilkłem.

Po pauzie wtrącił on znowu:

— Ha, skoro tak sobie życzysz, to dobrze. Myślałem, że tę gotówkę przeznaczasz na posag dla Zosieńki i nawet mam tutaj w bibliotece paczkę listów zastawnych, którą ci chciałem wygodzić, gdyby ci twoje zasoby nie wystarczały na posag.

Rzuciłem się w objęcia pana Feliksa, który moje wylanie się zimno przyjął i dodał:

— Ja się wyniosę do miasta.

— Jakto? opuścisz nas! — zawołałem przerażony—żartujesz? czy...

Pan Feliks bystro mi spojrzał w oczy i bąknął.

— Nie... nie wiem... zobaczymy!...

Więcej nie mówiliśmy o tem. Na twarzy i w osobie pana Feliksa malowała się zmiana, a sam odtąd zaczął nalegać o ukończenie rychłe interesu, który też niebawem u rejenta w Kielcach został załatwionym.

Powróciliśmy razem do domu, ja lżejszy o sto dwadzieścia tysięcy, a pan Feliks z paką listów, którą schował zapewne w bibliotece, na ulubionej swej półce, mieszczącej dzieła o Talmudzie.

Od tego czasu jednak dość często żądał odemnie koni i wyjeżdżał na kilka godzin.

Z początku te wyjazdy nic mnie nie zastanawiały, później jednak, gdy się zaczęły coraz częściej powtarzać i gdy zwykle w sobotę wypadały, zaczęły mnie dziwić.

O opuszczeniu nas, pan Feliks już nic nie mówił— a ja, ani żona moja, tej myśli nawet u niego nie przypuszczaliśmy.

Jak przedtem tak i teraz bawił Zosię, rozśmieszał i po całych dniach zajęty był spełnianiem jej dziecinnych jeszcze kaprysów.

To zarysował wszystkie karty jej albumu, to zapisywał je udatnemi wierszami, to jej znosił zasuszone kwiaty i motyle, to rzeźbił w kredzie figurki i biuściki.

Wyrodziła się też między nimi taka harmonia i sympatya, że o Zosię najwięcej się bałem, na przypuszczenie, że pan Feliks mógłby zechcieć opuścić nasz dom, w którym go już nic prócz przywiązania nie przytrzymywało.

A zachowanie się przyjaciela coraz bardziej tak mnie, jak i żonę niepokoiło.

Ulegał on melancholii. Życie nasze zdawało się coraz mniej go interesować, a na Zosię rzucał ukradkiem wejrzenia, pełnej jakiejś tęsknej i niezrozumiałej troskliwości. Tracił powoli tę nieocenioną swobodę, niczem nie zamąconą, która nieopuszczając go przez lat dziesięć, robiła z niego najprzyjemniejszego przyjaciela.

O powody tych zmian, codzien widoczniejszych, bałem się go zapytać; pan Feliks bowiem ukrywał się przed nami i starał się nie być odgadniętym.

Tak stały rzeczy, gdy raz w sobotę rano wpadła do mnie moja żona i bardzo zaniepokojona zaczęła.

— Wiesz? pan Feliks pragnie, abyśmy go dziś odesłali do Koszyc, gdzie chce kilka dni zabawić.

— Jakto? co mówisz?

— Spakował kuferek i prosi o konie.

— Cóż to znaczy?

— Mówi, że ma kilka interesów. Ja sama nie wiem. Nie uważałeś, jaki jest dziwny od pewnego czasu?

— Jakie może mieć interesa? — pochwyliłem zdziwiony. — Dziś zaczynają się święta żydowskie, które trwać będą kilka tygodni z przerwami; cóż on w tej mieścinie będzie robił?

Pobiegłem do pana Feliksa, od którego nic więcej wymódz nie mogłem, prócz tego że ma wiele interesów, które mu zabiorą kilka dni czasu. Woli je zaś przesiedzieć w Koszycach, niż codzień tam dojeżdżać.



— Ale zapomniałeś — zawołałem — że to się zaczynają święta żydowskie...?

— Owszem!... wiem — odparł pan Feliks i wyjechał.

Jakkolwiek za dwa, trzy dni miał powrócić, zrobiło nam się niewymownie smutno, gdy bryczka z pod ganku ruszyła.

Sam doznawałem uczucia, z którego sobie sprawy zdać nie umiałem.

Pamiętam tylko, iż zaćmiło mi się w oczach, gdy poczciwy Feliks rzucił ostatecznie wejrzenie na Zosię i zdało mi się, że jakby mu się łzy w oczach zakreściły.

W dwie godziny później, powracający furman oznajmił mi, że pan Feliks wysiadł w domu Szmula i że tam złożono jego kuferek.

Nieco później wbiegła Zosia, cała zapłakana wołając:

— Czy papa wie? pan Feliks zabrał wszystkie swoje rzeczy, nic nie zostawił.

Z żoną pobiegłem do biblioteki.

W pokoju było pusto, jakby w nim nikt nigdy nie mieszkał. Wszystkie książki nawet stały za szkłem na swoich miejscach. Nic nie zdradzało, ale to nic w komnacie, że w niej przeżył lat dziesięć przyjaciół i dobroczyńca domowy.

Nie zauważyłem tego wszystkiego, a zapłakana Zosia pytała:

— Co to znaczy papo? pan Feliks nie wróci?

Nie odpowiadałem nic, bo na samą tę myśl, serce mi się ścisnęło.

A pokój zdawał się mówić swemi ścianami i przedmiotami: nie wróci!

---

## VII.

Kilka dni nie było żadnej od pana Feliksa wiadomości i uznaliśmy za stosowne nie dowiadywać się o niego, skoro widocznie tego sobie nie życzył.

Żona moja czuła się nawet obrażoną na przyjaciela za brak zaufania, jakiego dał dowody, okrywając tajemnicą, swoją przedłużającą się nieobecność.

Proboszcz natomiast się zjawił i nie taił swego zadowolenia.

— *Ergo*—mówił tryumfujący—może i nie wróci. I zerkał przytem znacząco na moją żonę.

Odgadłem iż nie kto inny, tylko on był przyczyną całego wypadku, wpajając przekonanie w moją żonę, iż stosunek mój do pana Feliksa szkodzi naszemu stanowisku obywatelskiemu.

Nie mając urazy do plebana, uczułem głęboki żal. Zdawało mi się, że oddaniem długu panu Feliksowi, zmusiłem go do opuszczenia naszego domu. Bałem się, czy tak nie zrozumiał poczciwiec mojego postępkę.

Im dłużej trwało milczenie przyjaciela, tem więk-

szego doznawałem niepokoju, połączonego z najstraszniejszymi wyrzutami sumienia.

— Kto wie—myślałem—człowiek tak delikatny... cichy...

Ale żona moja tłumaczyła:

— Ależ on dom nasz tak lubił... Zosię... czyż to możliwe, aby przypuszczał z naszej strony chęć pozbycia się go?

I ja nie przypuszczałem, choć jasnym było, żeśmy się obopólnie nie zrozumieli. Pana Feliksa mimo tego, iż spędził w Napastkowicach lat dziesięć, widocznie nie znałem — bo był to charakter skryty, zamknięty w sobie, milczący.

Kilka dni zeszło na różnych kombinacjach, podczas których żadna wiadomość o panu Feliksie nas nie doszła. Koszyce wprawdzie leżały bardzo blisko, lecz z powodu siejby z jednej strony, a świąt żydowskich z drugiej, nikt prawie do nas nie zaglądał.

Wreszcie dłużej w tej niepewności niepodobna było wytrzymać.

Zosia po dziesięć razy na dzień pytała:

— Czemu papa nie jedzie dowiedzieć się o pana Feliksa?

A i mnie było nudno i smutno. Nie było z kim pogawędzić, ani dysputować o filozofii i różnych tajemnicach życia, ani zagrać w preferansa.

Nie było dziesięcioletniego towarzysza.

Napastkowice wydały mi się pustymi. Tego cichego, zagłębionego w książkach człowieka, brakowa-

ło, jakby kiedykolwiek ożywał nasz dom gwarnem życiem i wesołością.

Zdawało mi się to niepojętem. Pana Feliksa, cichego pana Feliksa, który się zawsze i wszędzie niwelował, brakowało. Brakowało go w każdym kącie, choć zwykł był tylko siadywać na fotelu w salonie przy kominku i na swej sofie w bibliotece.

Ile razy wyrząłem przez okno, to brakowało mi go i w ogrodzie, gdzie zwykł się był schylać nad każdym krzewem, nad każdą roślinką, chciwy odgadnięcia tajemnic jej cichej wegetacji.

Jednego też, z tych wydających się nadmiernie długimi, dnia, postanowiłem pojechać do Koszyc, dowiedzieć się o pana Feliksa i sprowadzić go nazad do Napastkowic, gdy najniespodziewaniej zjawił się Szmul z Koszyc.

Naturalnie, przyjąłem go czempredzej i nie zważając na grobową minę żyda, zaraz zagadnąłem tonem niecierpiącym zwłoki.

— Pan Feliks co robi?

— Co un robi? *gewalt!* — odparł żyd i ciągnął — co un robi, co un ma robić! Siedzi w mój dom.

— Jakto? siedzi wciąż u Szmula?

— Ny! jasny pan nie wie co się stało? — podchwycił Szmul zdziwiony niepomału.

— No gadaj! bo nic nie wiem — huknąłem.

— A to całe Koszyce się trzęsą, a jasny pan nic nie wie.

Żyd otarł pot z czoła, ręce włożył w kieszenie

żupana atlasowego i ściągnął brwi, a wytrzeszczając dziko oczy, zaczął:

— Un przyjechał do mnie na szabas z kuferkiem, i jak un zaczął gwałtować...

— O co?

— O pieniądze co ja jemu ręczył — odparł żyd i dalej zapalając się mówił: — Jak zaczął gwałtować przez szabas: *gewalt! gewalt!* tak ja myślał, że ostatnia godzina. A tu nadchodziły Rozchoszano, *gewalt! gewalt!*

— Co to Rozchoszano?

— Rozchoszano? *gewalt!* święta, wielkie święta po Tiszry, a potem Gedali, a potem Jomkipur, *gewalt! gewalt!* I co ja miał nieszczęśliwy robić?

— Cóż Szmul zrobił?

— Ja mu mój dom oddał, przepisał rejentalnie a un mi oddał moje kwity. Ja się z mego domu wyniósł. Un już w mój dom mieszka.

— Nie może być! — zawołałem.

Żyd spojrział na mnie zrezygnowany i dodał:

— Co ja miał robić!

Nastało milczenie, które znów przerwał Szmul:

— Co ja miał robić! Un powiedział, że nie ustąpi, a tu Rozchoszano za pasem i Tiszry i Gedali i Kuczki. Co ja miał robić? to wściekły człowiek, to herezyk, to... goj! *gewalt! gewalt!*

Zdumiony słuchałem, a Szmul ocierając kroplisty pot z czoła, kończył:

— Całe Koszyce się pod mój dom zleciały, un tak... *gewalt!* ale un ma za swoje...

Tu żyd się rozpromienił i z naciskiem w głosie wołał:

— Un w mój dom nie będzie siedzieć, jego już Pan Bóg skarał.

— Cóż takiego?

— Un leży chory, un zdechnie jak pies... *gewalt!*  
*gewalt!*

Nie słuchałem więcej, tylko zerwałem się i kazałem czempredzej zaprzęgać.

### VIII.

Pana Feliksa zastałem rzeczywiście bardzo chorego. Astma, która mu bardzo dokuczała, dusiła go od dni kilku.

Zmieniony, blady i wyniszczony, uśmiechnął się do mnie.

W tym uśmiechu, zdawało mi się, iż było nieco przymusu i jakby żalu do mnie z jego strony.

— Cóż to znaczy?—zawołałem od razu— opuściłeś nas, uciekłeś, chorujesz i nic nie donosisz? Toż czekamy na ciebie codzień od tygodnia, i gdyby nie Szmul dzisiaj...

Tu pan Feliks mi przerwał i lekko zaciekawiony podchwycił:

— Cóż Szmul mówił? co?

— Mówił żeś chory...

— I nic więcej?

— Żeś dom od niego kupił. Czy tak?

Pan Feliks spojrział mi bystro w oczy i zamilkł. Po chwili dopiero tak zaczął, nalawszy mi szklanke herbaty, której zawsze pił bardzo dużo:

— Słuchaj, w jakie głupstwo się wpakowałem, dzięki temu P u d i s c a m.

— Jakiemu Pudiscam?

— A to nie wiesz? Pudiscam to filozof z przeszłego wieku, autor dzieła: „*Les secrets du Talmud*“.

— Cóż on ci winien?

— Ba! co? gdyby nie on, nie byłbym zabierał tej chałupy Szmulowi. Ale Pudiscam, widzisz, twierdzi, że na żydzie wszystko wymódz można, mordując go w uroczyste święta. Chciałem się przekonać, i gdyście mnie wypędzili z Napastkowic...

Nie potrzebowałem panu Feliksowi przerywać, bo sam się zakrztusił i długo bardzo męczył go atak astmy.

Gdy ochłonął, nie chciał już o Pudiscamie, ani o Szmulu mówić, tylko zaczął dopytywać się o żonę moją i Zosię.

Gdym mu opowiedział, jak się córka moja wciąż o niego dopytuje, zauważyłem rozrzewnienie na twarzy przyjaciela, które mnie tak rozczuliło, iż obsypałem go wymówkami, że nas opuścił—i to z widoczną dla siebie przykrością.

Podczas gdym mówił, pan Feliks uporczywie

milczał, a gdym skończył i czekał na odpowiedź, po długim milczeniu wyszeptał tylko:

— Rezydentem być nie mogłem... nie chciałem mego kapitału.

Napróżno się tłumaczyłem. Z miny przyjaciela widziałem, iż oddanie mu długu uważał z mej strony za chęć pozbycia się go z domu.

O powrocie do Napastkowic i mówić nie chciał, już to z powodu choroby, już to z powodu kupna tego domu.

— Zawadzałbym wam — mówił — coraz ze mną gorzej; ta astma... już nie długo tego, czuję... udusi człowieka. Zresztą urządziłem się w tej chałupie. Żał mi tylko tego Szmula; gdybyście nie byli mi zwrócili kapitału, byłbym może nie robił tego doświadczenia...

— Jakiego doświadczenia?

— No, z tym Szmulem—odparł pan Feliks nieco zirytowany, że nie zrozumiałem odrazu, co chciał powiedzieć — z tym domem. Gdyby nie Pudiscam, byłbym sobie gdzie w miasteczku wynajął izdebkę, ale widzisz, całe życie badałem tę kwestyę i nie wierzyłem w fanatyzm żydów... Przekonałem się; to wielki naród! wierzy...

Westchnął i dodał:

— A gdybyś mi był nie oddał kapitału, to nie byłbym się przekonał i dalej trwał w błędnym mniemaniu, że religia u żydów jest tylko czczą formą... Tyle dobrego przynajmniej... bardzo się cieszę... człowiek do grobowej deski się uczy. Ale...



Pan Feliks rozumnie się uśmiechnął ustami, jak to było w jego zwyczaju i kończył:

— Ale byłbyś się uśmieł. Nie masz pojęcia, co żyd wyprawiał i jak się bronił. Gdym mu dopiero się zaklął, że i na kuczki u niego siedzieć będę, zdecydował się mi oddać dom za długi, które poręczył.

Zapłaciłem trzy razy tyle, ile chałupa ta warta.

— Czyż te długi były niepewne?—zapytałem.

— Owszem... ale mi nie oddawali, ani procentu nie płacili; przecież procesować się nie mogłem. Szmul sobie odbierze...

Więcej dnia tego nie mówiliśmy, bo i pan Feliks chorobą zmęczony, nie był do rozmowy usposobiony.

Prosił mnie tylko, abym go odwiedzał jak najczęściej. Obiecywał zaś przyjechać, skoro tylko pora jesienna się ustali.

Co drugi dzień też niemal jeździłem do Koszyc, i napróżno za każdym razem namawiałem przyjaciela, aby się do nas przeniósł.

Obruszał się tylko i szemrał.

— Rezydentem nie będę... mam za co... rozumiesz przecież... Dawniej było co innego. Zobopólnie byliśmy sobie potrzebni.

Na moje perswazyje zaś odpowiedział:

— Dajże pokój. Cóż wam po starym astmatyku?..

Raz, melancholijniej niż zwykle usposobiony, wygadał się:

— Dobrze mi u was było... przywykłem do domu, do wszystkiego. Nieraz mi się zdawało, że mi się z wami

zrósł, że nas nie rozłączyć nie może... Stało się; ale powiedz mi, dla czego mi oddałeś ten kapitał? Wszak wiedziałeś, że go nie potrzebuję; wszak nigdy, zdaje mi się... nie byłem natrętnym, ani też wam nie zawadzałem.

Jakkolwiek w swoim czasie uznawałem przyczyny, jakie mię skłoniły do oddania długu panu Feliksowi, na razie zagadnięty, nie wiedziałem co odpowiedzieć. Względy światowe zdawały mi się w tej chwili drobnostką, w obec przywiązania tego człowieka do naszego domu.

Nic nie odparłem, a pan Feliks więcej nie nalegał, tylko z miny jego widziałem, iż utrzymywało się w nim przekonanie, żeśmy się chcieli go pozbyć.

Na zdrowiu coraz bardziej zapadał; robił się zgryźliwym i cierpkim, jakim nigdy nie był.

Zamknięty w jednej izdebce, siedział sam z jednym sługą, którego głównem zajęciem było nastawianie samowaru.

Nie nudził się jednak, bo ile razy przyjeżdżałem, to wytaczał jakąś kwestyę filozoficzną, której rozbiór okazywał, że nad nią dużo myślał i dużo o niej czytał.

A czytał bardzo wiele, bo odkrył w Koszycach u miejscowego proboszcza, duży, stary księgozbiór; zatapiał się w dziełach przeważnie teologicznej treści.

Prócz tego, sprowadzał książki z Krakowa i Warszawy; cieszył się nimi jak dziećmi, i nie narzekał nawet na ich drogosc.

Tak stały rzeczy pod koniec jesieni i zdawało się nawet, że zdrowie pana Feliksa się poprawiało.

Nie było już mowy o sprowadzeniu go nazad do Napastkowic.

Obiecywał tylko spędzić u nas lato, o którym jednak z powątpiewaniem mówił.

Na kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia, rozmawiałem właśnie z żoną i Zosią o panu Feliksie. Postanowiliśmy sprowadzić go zamkniętą karetą na święta—i w tym celu Zosia ma do niego napisać. Jej bowiem jedynie niczego odmówić nie mógł.

Sam już wiem nie miałem czasu być u niego przed świętami. Ten projekt zwerbowania choćby na kilka dni tyloletniego towarzysza, cieszył mnie niewymownie, i nie przypuszczałem aby cokolwiek mogło go rozwiąć.

Los jednak chciał inaczej.

Tegoż samego dnia przybył posłaniec z Koszyc z kartką od pana Feliksa, wzywającą mnie do niego.

Natychmiast pospieszyłem, jakby przeczuwając coś złego.

Przyjaciela zastałem w opłakanym stanie. Od kilku dni astma go dusiła, jak nigdy. Siedział na fotelu, a przy nim znajdował się miejscowy doktor, który wciąż mu dawał jakąś miksturę uspakajającą do picia.

— Już nie będę nikomu zawadzał—były pierwsze słowa pana Feliksa, wystosowane do mnie—już koniec mój przyjacielu. Byłbym może jeszcze pociągnął, ale ta zmiana...

Nie dokończył, bo go dusiło.

Jakby się bojąc jednak, że wkrótce nie będzie mógł

już mówić, zadzwonił na sługę, a gdy ten nadszedł, tak zaczął stłumionym głosem:

— Czuję, że już koniec... Krewnych nie mam żadnych... więc słuchajcie, jak rozporządzam moim majątkiem.

Obrócił się do mnie i cicho wybełkotał:

— Ty wykonasz moją ostatnią wolę.

Skinąłem potakująco, a on dalej pospiesznie, dopomagając sobie znakami, mówił:

— W szkatułce pod łóżkiem znajdziecie dwakroć stotysięcy, które zapisuję twojej córce Zosi.

Chciałem oponować na razie, lecz pan Feliks machnął ręką i mówił dalej:

— Powtarzam, że nie mam krewnych... tak chcę... słuchajcie! Prócz tego, są tam i kwity na kilkadziesiąt tysięcy, jakie zapisuję dla ludzi wstydzających się żebrać, a w tym powiecie mieszkających, do waszego uznania i wyboru. Niech wam w tem pomoże proboszcz Napastkowicki... proszę go...

Pan Feliks urwał i zdawało się, że już nie przemówi.

Ale doktor szepnął:

— A dom?

Pan Feliks jakby się obudził i uśmiechnął.

— Dom!... dom Szmulowi. Przepróście go... Ja chciałem tylko przekonać się. Ten Pudiscam...

Więcej nic nie powiedział i w godzinę później już zimny, lecz błogo i spokojnie jeszcze uśmiechnięty, siedział na fotelu.

K O N I E C.

## SPIS RZECZY.

---

Rezydent mojej ciotki . . . . .	str. 3
Bezik panny Rapalskiej . . . . .	str. 87
Mój rezydent . . . . .	str. 153

---





# Tegoż samego autora

wyszły następujące dzieła:

		Rs	kop
Dzisiejsze małżeństwa. . . . .	1 tom	1	80
Jeszcze małżeństwa. . . . .	1 „	1	80
Wilma . . . . .	1 „	1	80
Hrabia-Starosta . . . . .	2 „	3	60
Jędrzek. . . . .	1 „	1	20
Linokoczek. . . . .	1 „	2	40
Wczorajsi, Serya I. . . . .	1 „	1	50
Wczorajsi, Serya II. 1896 . . . . .	1 „	1	50
Nokturn Szopena. . . . .	1 „	1	20
Tajemnica V pułku węg. huz. . . . .	1 „	1	20
Z różnych pułków. . . . .	2 „	2	40
Nera Pollacca, 1895. . . . .	1 „	2	—
Śwąt, 1895. . . . .	1 „	2	80
Hrabina, 1895. . . . .	1 „	2	—
Aktorka, 1895. . . . .	1 „	2	—
Przy naszych dworach, 1895. . . . .	1 „	2	—
High-life-Doktor, 1896. . . . .	1 „	2	—

## POD PRASĄ:

Wczorajsi, Serya III.  
To i owo.  
Ostatni.  
Ze Starzów pani Appelstein.  
Czarada.  
Odrebna istota.

Skład główny u G. Centnerszvera,

Warszawa, Marszałkowska 143.

INSTITUT  
BADAŃ FILIACYONICZNY PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

<http://rcin.org.pl>

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42









F  
2066